



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek.

Praca kobiety na zarobek.

W życiu kobiety nowoczesnej zaszła zmiana wielka. Aż do połowy naszego stulecia pracowała w rodzinie i dla rodziny; wyjątek stanowiła tu jedynie sztuka, i to wtedy tylko, gdy to było wynikiem wyższego talentu, obdarowaniem takim, które porywało za sobą i nie dawało już pozostać na zwykłym poziomie domowego życia kobiety. Było tak od początków cywilizacji, lecz wiek nasz wniósł w życie społeczeństw zmiany wielkie. Maszyna stała się groźną współzawodniczką pracy ręcznej—strąca ona tę pracę w dół, pochłania to, co było jej zadaniem i wytworzyła się wskutek tego wśród narodów nowożytnych, kwestya nieznaną przeszłości, kwestya pracy, będąca kwestyą chleba dla milionów ust głodnych. Dotyka ona i kobietę, która wobec nowego układu życia pozostaje częściej, niż niegdyś, samotną i kobieta robotnica występuje na forum życia społecznego, a jakkolwiek szlachetny myśliciel francuzki, woła, wejrząwszy w głąb warunków, wywarzających się tutaj: — „Robotnica... wyraz bezbożny! robotnica... wyraz przeklęty!” — niemniej robotnica na kawałek chleba, któryby utrzymywał jej życie, istnieje, i trudno orzec patrzącym w perspektywę przyszłości: co postęp przyniesie w tym kierunku?

Trzeba ufać, że będzie to zmiana na lepsze, a to tem więcej, że obecnie ludzie dobrej woli i myśli poważnej zajmują się kwestyą tej pracy—widzą w niej rzecz ważną dla podstaw społecznych, dla moralności ogółu; lecz obok tego ukazują się w samym łonie tej pracy pewne zaplątanie się jej nici: podnoszą się zagadnienia, dotyczące nie tylko kobiety samej, i teraz właśnie dotk-

nięto w angielskiem czasopiśmie: *Westminster Review* jednej z ważniejszych stron tej pracy. Uczyniło to pióro kobiety. Arabella Kenealy, doktor medycyny, zatem osoba nie tylko posiadająca umysł tak już oświecony, że umie wejrzeć w życie i sprawy jego sądzić z wyższego, więc mniej omylnego stanowiska, lecz i posiadająca doświadczenie w tym kierunku, podniosła kwestyę: czy kobieta mężatka może bez ujmy dla obowiązków swoich żony, matki i gospodyni domu oddawać się pracy zawodowej?

— Nie... orzekła odpowiedź. Kobieta musi wybierać między tą pracą zawodową a spełnianiem obowiązków rodzinnych, do których jest powołana, bo inaczej coś koniecznie opuszczonem, coś zaniedbanem zostanie. Nie naopróżno naucza Ewangelia, że tam jest serce nasze, gdzie jest nasz skarb, nigdy też doskonale dobrą żoną i gospodynią nie będzie—nie może być kobieta, która połową swej moralnej i intelektualnej istoty istnieć musi poza sferą rodzinną—poza myślą o obowiązkach, jakie spełnić tu jest jej świętym obowiązkiem. Nie tylko brak czasu staje tu na przeszkodzie: umysł, serce nawet już się wtedy nie może oddać tak całkowicie temu, czego rodzina od kobiety wymaga, i nawet mając przed myślą, przed wolą swoją postawiony w zarysach, najszlachetniej pojętych, ideał obowiązku swojego, już go wykonać nie zdoła tak, jak należy.

Odpowiada to gorącym słowom poety naszego, iż biada jest temu, który obowiązkowi świętym dla niego oddaje tylko pół duszy. Miss Kenealy posuwa się tu tak daleko, że uważa za złe przygotowaną do życia w rodzinie kobietę, która nawet przed małżeństwem poświęcała się, nie tylko zawodowej pracy, odrywającej od zajęć domowych, ale kształciła się umysłowo w kierunku specjalnie naukowym, który „usposabia więcej do spełniania urzędów społecznych, niżeli do życia w rodzinie.”

Kobiety tych warstw ludności pracującej, które bieda zmusza od lat pierwszej młodości do zajęcia

się w fabrykach, przedstawiają prawdy tej przykład smutny. Nie tylko mało się znają na gospodarstwie domowym, ale trudno im jest rozbudzić w sobie zamiłowanie do niego; przenoszą też niemal ogólnie ciężką, nawet pracę na zarobek nad miłą dla innych kobiet zajęcie się domem i obowiązkami tu wymaganymi. Należy to nawet do klęsk krajów z silnie rozwiniętym przemysłem, że prawdziwy dobrobyt rodzin pracujących znika tam wraz z krzepiącą słodyczą domowego ogniska—że ognisko to, które kobieta tylko technieniem swoim rozjarzyć może, zagasa, obniżając wraz z poziomem szczęścia i poziomem moralności, co powtarza się zawsze i wszędzie, w klasach wszystkich, gdzie tylko kobieta nie chce, czy nie umie stać tu na czele, oddana obowiązkowi wyznaczonej sobie pracy. Nieprawdą też jest, aby nie dawała ona kobiecie wyżej wykształconej odpowiedniego zajęcia, nie budziła w niej dostatecznego interesu, bo ta, z umysłem oświeconym, która znaczenie rzeczy tu rozumie, uważa się nie tylko za podskarbinę mienia rodziny, gdyż tam tylko gdzie kobieta obowiązkowi oddana przewodniczy domowi, i dziecko chowa się w idei obowiązku, którego atmosfera je otacza—poczuwa się od lat najmłodszych do powinności użytecznego, pracowitego zajęcia życia.

Kobieta ma prawo, wspólne z ludzkością całą, posiadane zdolności rozwijać; niemniej należy jej pamiętać, że nie wolno jest nikomu harmonii społecznej naruszać, na co prawdziwie rozumna nie porwie się nigdy, już przez sam ten rozum, który jej wykaże, że rzecz nieprawidłowa nigdy dobrych owoców nie przynosi. Życie własne miss Kenealy jest tu pojęciem jej w tym przedmiocie przykładem. Potrzebując i chcąc pracować, poszła ona za skłonnością umysłu swego, który ją pociągał do pracy w kierunku naukowym, obrała też sobie zawód lekarski, lecz specjalnością jej są choroby dzieci, więc pracować tu będzie w zakresie pracy odwiecznie kobiecej: będzie pomocnicą matki i są-

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

dzi, że może stać się tu użyteczną, iak pragnie tego. Jest ona Irlandką z narodowości, córką lekarza; nauki kończyła w Dublinie, po ich ukończeniu powróciła do rodzinnego miasteczka Watford; lecząc, obok dzieci, kobiety tylko, wyrobiła sobie praktykę znaczną po wsiach i miasteczkach, gdzie dojeżdża; lecz to pracowite życie nie męczy jej, nie utrudza nad siły, zwłaszcza, że, jak wyznaje, jest zamilowaną w zawodzie swoim. Według tego, co pokazuje jej portret zamieszczony w pismach angielskich, jest bardzo ładną, pociągającą wdzięczną, lecz za mąż wyjść nie pragnie—nie chce nawet wedle przekonania wszczepionego jej przez matkę jeszcze przy wyborze zawodu, że kobieta, która poświęca się pracy poza-domowej powinna pozostać samotną, bo inaczej zawsze czemuś uchybi, czegoś w obowiązkach przyjętych na siebie nie dokona.

W życie jej wplotła się przecież dwa lata temu różowa nie romansu. Została pokochana przez młodego, zamożnego ziemianina zamieszkującego w okolicy jej rodzinnego miasteczka, Percy Fendall, ale dzieliły ich od siebie przeszkody ważne. On był Anglikiem i matka jego nie życzyła sobie tego małżeństwa, do którego ona nie byłaby też skłoniła nigdy ani sereą, ani woli. Nie mogąc złamać przekonania moich... odpowiedziała mu. „Obierając sobie zawód lekarski, wykonałam niejako ślub, podobny zakonnemu: regułą tu moją jest praca dla pożytku tego biednego ludu, który lecząc, usiłuję i oświecać. Matki, których dzieci uratowałam od śmierci, przywiązują się do mnie i wierzą mi, mam zatem nad nimi wpływ, z którego chcę korzystać dla dobra ich i ogółu. Taka praca nie zostawi życia mojego pustem; sereę moje ma co kochać i mam przekonanie, że jestem użyteczną“.

Zamierza ona pracować w zawodzie swoim i piórem: wydawać od czasu do czasu małe broszurki, traktujące o chorobach człowieka uboższego i zawierające możliwą w warunkach jego życia higienę. Należy to do jej przekonań, że szczęśliwym być może każdy, kto tylko nie wpuści w życie swoje nudy, przynajmniej uczuciem próżni—każdy, którego sereę potrafi coś kochać poza kręgiem interessu osobistości własnej. Jest to pojęcie szczęścia identycznie odpowiadające określeniu go przez szlachetną poetkę naszą, Żmichowską. — „Kochać, wierzyć, czuć bez miary“ to szczęście gruntu pierwszy. „Być kochaną, umrzeć młodo“ to jest za nim się utraci siłę do pracy, należy do warunków szczęście dopełniających, ale pojmują je tak tylko istoty wybrane, i dlatego Żmichowska zakończy wspaniałe piękną pieśń swoją o szczęściu, smutnym wykrzyknikiem: — „Ludzie! ludzie! wy nie wiecie, że to szczęściem jest na świecie...“

Izabella Kenealy jest mimo pracy swojej na polu, które doniedawna było uważane za przynależność wyłącznie męską, przeciwnie, tak zwanej emancypacji kobiecej, to jest przybierania przez kobietę cech mękości, więc wypierania się kobiecej swej natury, i napisała też traktat potępiający ten kierunek: „The Worship of Masculinity“ (uwielbienie mękości). Kobiety, jak się spodziewa, przyłożą się do postępu ludzkości przez rozwój przyrodzonych swoich zdolności, które wytworzą z kolei i nowe przymioty, nowe siły, ale zawsze na gruncie właściwym ich niewieściej indywidualności. Rozszerzy się przez to i pole ich pracy, która jednak nie powinna nigdy prowadzić do zatracenia w kobiecie cech jej niewieściej natury, enót niewieściej. Naśladowanie przymiotów, zdolności właściwych męskich, jest dla kobiety poniżeniem, jest upadkiem „a failing“ jej godności osobistej. Nigdy też ta, która prawdziwie wyższą nazywać się może, nie dopuści się tego i na wszelkim stopniu działalności, na wszelkim stopniu rozwoju umysłowego pozostanie zawsze sobą — kobietą.

M. I.

Zdawało się, że ciężar spadł z piersi Korabieza, że oddawna wygnana wesołość pełną weszła fala. Jeżeli coś leżało na dnie jego duszy i na wierzchu się rwało, zostało zdławione i wola na uwięzi trzymana.

Michał Korabicz był starszy od Zygmunta o jakie lat dziesięć, słuszniejszy od niego, barczysty, nosił brodę krótko podciętą i wasy ku dołowi opuszczone. Nie miał pełnych lat czterdziestu, a już srebrne pasma mieszały się z kruczą zamołodu barwą włosów. Niegdyś musiał być pięknym mężczyzną—pamiętali go takim jeszcze Zygmunt i Zofia; teraz ogień w oczach przygasł, twarz nieco zapadła i była bardzo biała. Nie miał nigdy wykwinutych ruchów salonowca, bo należał do tej klasy ludzi, którzy z dziada pradziada zasiewali zagon ojczyści; nie opływali w dostatki, a jeżeli lepszy czasami los im się uśmiechnął, to uśmiech ten własnej zawdzięczał pracy. Korabieze do szaraczkowej należeli szlachty; do takiej się zaliczał i pan Michał. Ogarówka była niegdyś wielką kolokacją, ale ojciec Skalskiego—krom dwóch wsi innych—mający tu przewagę w ziemi i pańską rezydencją, skupił wszystkie grunta szlacheckie; tylko stary Korabicz nie chciał ziemi swej sprzedać i do brych paręset morgów synowi zostawił. Michał na ojcowiźnie osiadł i orał—siał—zbierał, z sąsiadami żył pobratersku... aż oto, dwa lata temu, coś go z rodzicielskiej siedziby minami wysadziło. Daremne były domysły: nie dowiedziano się nigdy prawdziwej przyczyny. Zygmunt wierzył nie wierzył w bytność pana Michała w Monte-Carlo; Zosia przez oczy do duszy jego patrzyła i szepnęła w myśl:

— Kłamiesz, panie Michale!...

— Ale, ale—zawołał nagle Korabicz, przerywając w pół słowa jakiś szczegół opowieści—jeżeli o sobie niewiele mam do powiedzenia, chyba to tylko, że się nieco wykształciłem zagranicą, mam coś do zakomunikowania tobie, panie Zygmuncie, jeżeli dotąd nie wiesz, a prawdopodobnie, że nie wiesz. Na wyjeździe już do kraju spotkałem się w Berlinie... no, zgadnij z kim?

— A czy ja wiem z kim? — W Berlinie byłem, i to przejazdem do Belgii, lat temu sześć, nikt zaś z moich sąsiadów, zdaje się, za granicę nie wyjechał. Co prawda, że u żadnego dotąd z poślubną wizytą nie byliśmy.

— Dlaczego? — zapytał Michał.

— Powiem ci otwarcie, że tak nam dobrze było we dwoje, tak dobrze, zacisznie, iż nie nad to nie pragnęliśmy od świata. Tych lat parę przeszło nam jak sen o rajskich marzeniach! Wystarczało nam niebo i słońce, powietrze i zielen, a w czasie zimowych wieczorów książka i pogadanka przed kominkiem. Czasem śpięliśmy, czasem kłócimy się dla rozmaitości—dodał, z uśmiechem patrząc na żonę—albo Zochna moja do krosien zasiada i każe mi trzymać motek bawełny, który zawsze popłaczę... Ale—rozpapałem się, jak widzę... *Ad rem!* Kogóż to tak ciekawego spotkałeś w Berlinie?

— Szambelana Pirskiego.

— Co za dziw!—rzekł Skalski.—Mój, pan wuj—bo on jest tam jakimś mym wujem—przesiaduje, nie wiem od wielu już lat, za granicą. Prawda, że stałem jego mieszkaniem jest Paryż, lecz mógł i o Berlin zawadzić. O ile mnie pamięć nie myli, to ze dwadzieścia już lat z okładem jak w kraju nie był. Widziałem go, dzieckiem jeszcze będąc—ale pamiętam doskonale. *Charmant*, przed damami rozpluwający się w komplementach i lubiący passyami cukierki. Czy zawsze ten ruchliwy, gadający, rozmiłowany w dowcipach i chichotach?

— Poznałbyś go dzisiaj; nie zmienił się nie prawie.

— Ależ zestarzeć się musiał! Pan szambelan najmniej liczy obecnie lat pięćdziesiąt i z czemś.

— A od czego fryzjerska sztuka, kosmetyki i inne tajemnicze toaletowe?... Włosom—nie gęstym wprowadzie—nadał barwę niepoliturowanego mahoni, z twarzy pozbywa się najstaranniej wszelkiego zarostu, a delikatne bielidła i róż, z całą umiejętnością użyte, nadają skórze pewną czystość i świeżość naturalną prawie. Monsieur Deniz ogromnie przypomina owych zfrancuziałych szambelanów dworu Stanisława Augusta. Daj mu hareop, pończochy, żaboty, kamizelę i frak czerwony, bramowany złotem—a gotowy masz model, z którego do swych obrazów brał wzór Bacciarelli. Szczupły, suchy, o twarzy ściągłej, a w nieustannych ruchach, jakby na angielskiej sprężynie był osadzony. Ale nie w tem rzecz, że spotkał pana szambelana, który przypomnieć mi się najuprzejmiej raczył i o ciebie: „cóż tam Zys?“ zapytał, lecz—że powraca do kraju...

— On?—zawołał Zygmunt—on, zendzoziemczak do szpiku kości, do kraju wraca?... A cóż on tu będzie robił bez Paryża i lasku bułofskiego?

— *La République m'ennuie!*—rzekł do mnie, gdy go spytał o przyczynę pogńiewania się na Paryż. Wiem, że przysłał rozkaz do przygotowania mu pałacu w Brzezynie i prawdopodobnie od tygodnia bawi już w nim.

— Hm! hm! — mrknął pan Zygmunt — to dziwne, że nie o tem nie wiem. Ale prawda, Brzezina oddalony jest od Ogarówki o mil piętnaście, koleją majątności naszych nie łączy, i w tamtych okolicach dawno już nie byłem. Al! niech sobie przyjeżdża, gdy chce—co mi po nim? Kochany wujaszek mnie nie odwiedzi—za wielki to pan!—ja zaś nie pędzę do niego pośpieszę.

— Sądę, że wcale nie pośpieszysz — odezwiała się Zosia.—Gdyby pan szambelan chciał o tobie pamiętać, przybyłby tu pierwszy.

— Zapewne, ale wiek ma swoje prawa... Gdyby się odezwał, napisał...

— Napisał, co?—spytał Korabicz.

— Przyjeżdż, chcę z tobą się zobaczyć...

— O! — przerwała żona.—Ja-by, na twojem miejscu będąc, odpowiedziała wręcz, że kochany wujaszek zawsze mnie zastanie w Ogarówce w tym a w tym dniu.

Zygmunt z uśmiechem spojrzał na Zochnę.

— Odpowiedz dobra, ale, otrzymawszy taką, szambelan nie przyjechałby na pewno.

— Nie czuliśmy jego nieobecności dotąd, ja przynajmniej.

— Zawsze to mój krewny...

— Daleki, jak mówiłeś...

— No, nie tak znów bardzo!

— Jak nie dotąd nie traciłeś, nie znając pana szambelana, tak nie teraz, poznawszy go, nie zyskasz.

— Kto może wiedzieć?—rzucił Skalski.

— Naprzykład?—spytała pani Zofia.

— Pirski ma ogromne stosunki.

— Cóż z nich tobie?

— Nie!... albo ja co mówię?... Tak tylko powiadam ot, choćby dla tego, że trzeba nam będzie mieć parę domów bliższych, a szambelan z pewnością salony swoje otworzy. Dziwakiem jest—to prawda, ale wyrósł w innym, niż my, otoczeniu, zupełnie inne wpływy nań działały, nie obce mu były Tiulerye za czasów cesarstwa, inna tam odwołała go atmosfera. Zresztą, człowiek już dawno nie młody, ma swoje pojęcia, sądy, przekonania, których nam nie zmienić i—nie widzę dobrej racji zmieniać; ale ma rozum, polor, elegancją obejścia się,—słowem: wszystko, co go pożądanym czyni. *Savoir vivre* jest równie niemąłą umiejętnością! Dowcipny jest przytem i umie się podobać.

— Cho! cho, cho,—roześmiała się Zosia.—Różniący się pan szambelan może tylko śmiech wzbudzić.

— Eee, czyż się różuje?!

— Przynajmniej tak sądziłem—rzekł Korabicz.—Zbyt świeże rumieńce i delikatność skóry podejrzaniemy się mi wydały.

— Bo nie wiesz pan, jak to arystokracja konserwować się umie. Babka moja miała lat siedm-

dziesiąt prawie, a mówię panu, wyglądała zupełnie tak, jak Zosia.

— Zygmunśiu, przesadzasz! — przerwała żona.

— Nie zupełnie tak młoda, jak ty, ale młoda na wiek swój. Zapewne, że w grę tam wchodziły jakieś arkana sztuki niewieściej, lecz co nam do nich, gdy one opóźniają starość!

— Z pozoru tylko — dodał pan Michał.

— Wolę w każdym razie patrzeć na twarz gładką, niż na fantastyczne rysunki czasu.

— A dla mnie — zawołała Zosia — starzec udający młodzika jest wstrętnym.

— Ależ szambelan nie jest stary... Zresztą, ja ci powiem, kochanko, że *Monsieur Denis* starym być nigdy nie może. Starość przedstawia się nam w postaci powagi, siwizny — widzimy grzbiet schylony, słyszymy drżących nóg chód ciężki i na usta co chwila wybiegający morał. Tego w szambelanie nie szukaj!... Był młody, jest młody i umrze młodzieńcem.

— Mówisz, jakbyś go znał...

Zygmunt zarumienił się lekko.

— Korabicz go widział — szepnął.

— Tak, tu maż pani ma słuszość. Szambelan po-dziś-dzień jest duszą wielkiego świata. Zda się, że pięćdziesiąt lat wieku nie dolega mu wcale.

— Co to za wiek! — rzucił Zygmunt, wzruszając ramionami.

Zosia uśmiechała się, patrząc w ożywioną twarz męża. Widać, że wiadomość o przybyciu wielkiego pana, jakim był wuj Skalskiego, szambelan Pirski, lechtała próżność Zygmunta. Jaki w istocie pokrewieństwa stopień był między nimi? — pani Zofia napewno dowiedzieć się nie mogła. Zrazu szambelan, odsunięty bardzo daleko, przybliżać się począł, stawał się panem wujem, wujem, wreszcie się zrobił wujaszkiem Dyziem. Gdy pod koniec rozmowy Zygmunt się nadto zapalił, broniąc już bardzo bliskiego krewnego, Zosia dała hasło do wstania od wieczerzy i, podbiegając do męża, białe ramiona zarzuciła mu na szyję.

— O, mój ty dzieciaku! — zawołała, całując go w czoło, gdy on się do jej oka nachylił.

— Dziękuję matce za to, że powiedziała — powiedział Zygmunt, całując z uszanowaniem małą rączkę żony; zaśmiał się, w objęcia chwycił i głośnym pocałunkiem w białe ramię klasnął...

Zosia pobiegła do Korabicza.

— Proszę do salonu — zawołała, podając mu rękę.

Poszli przez kilka pokoi, w których wszystko patrzyło elegancją, połączoną z pewną pretensją do wykwintu. Gdzieś tam za dużo złocień było, czem się zdradzał gust pana Zygmunta, niekoniecznie znamionujący smak dobry. W salonie rządziła Zosia. Pełno więc w nim było kwiatów, drzew i krzewów; u okien wisały śnieżnej białości firanki; białe, lekko złoczone meble pokrywała blado-różowa jedwabna materyja, ściany zdobiły gipsatury róż i wieńców, pięknymi skrzynkami rozrzucone dokoła. Okno i drzwi wiodące na balkon były narozcień otwarte. Z parku lekki wiatr wpadał, przesiąknięty balsamiczną kwiatów wonią, wstrząsał festonami tiulów zawieszonych u okien i cichym szmerem poruszał liście krzewów. U sufitu, zawieszona na brązowych splotach ażurowego łańcuszka, chwiała się lampa, jasne, białe światło rozlewając dokoła.

Zygmunt wyszedł na balkon, pani Zofia zatrzymała się chwilę koło kwiatów, później zbliżyła się do Korabicza, który stał oparty o fortepian, prawą rękę założywszy za poję surduta.

— Już pan nie opuścisz Ogarówki i nie będziesz szukał szczęścia w Monte-Carlo? — zapytała.

— A gdzie? — odpowiedział bezmyślnie.

Zbudził go z marzeń jakichś serdeczny śmiech Zosi.

— Al! wybacz mi, pani — zawołał. — Doprawdy, nie zrozumiałem jej pytania.

Pani Zofia przyłożyła paluszek do ust i z wolna poruszyła głowę.

— Daleko gdzieś pan myślał odbiegł, daleko! — odezwiała się.

— O tysiąc mil ztąd byłem.

— To dalej, niż Monte-Carlo — podchwyciła szybko.

— Łapięz mnie, pani, na gorącym uczynku — z przymuszonym śmiechem zawołał Korabicz —

Monte-Carlo?... ha! Szaloną przegrałem stawkę i... dalej ruszyć musiałem.

Pani Zofia nie spuszczała swych spojrzeń z jego oczu.

— Nie patrz, pani, tak na mnie! — rzekł głosem, który dziwnie zadźwięczał w uchu patrzącej na niego kobiety.

— Czy wiesz co, Zochno! — zawołał Zygmunt, z balkonu wracając. — Okrutnie mi się nie podoba ta malowana podłoga w ganku: możeby ją kamieniami płytami zastąpić? jak uważasz?

— Czy to tak na przyjazd wujaszka szambelana? — spytała z figlarnym uśmiechem, postępując naprzód kroków parę.

— Ty, niegodziwy języczku! — krzyknął Skalski — Znudzili cię dwuletni pokój: chcesz kłótni?

— Nie, nie, nie — zawołała szybko. — Kłótni, nieporozumień, niezgody... nigdy, nigdy!... Coby było z naszym szczęściem?

— O, nie lękaj się! — rzekł Zygmunt. — Trwałszem jest ono, niż myśl moja o kamiennej posadzce.

Ujął rękę żony i zbliżył się do gościa.

— Klóćcie się, państwo — odezwał się Michał — mnie czas do domu, na spoczynek po podróży.

— Nie zatrzymuję, bo widzę, żeś zmęczony.

— I nie żegnamy, lecz... do widzenia! — dodała Zosia kłaniając się.

— Choćby jutro — dokończył Skalski.

Korabicz uściśnął podaną przyjaźnie rękę

— Odwiedzisz mnie może, panie Zygmunśiu? — rzekł — Pani...

Zwrócił się do Zosi.

— Prosić nie śmiem.

— Bo przyjdę i bez tego — odpowiedziała z uśmiechem.

Michał skłonił się, ujął za kłamekę kryształową drzwi prowadzących do sieni i wyszedł szybko. Nie zeszedł jeszcze ze schodów, gdy posłyszał w powietrzu drgające pocałunki, a później nieco śpiew Zosi:

W uścisku twoim czar, rozkosz, wino!...

Nie staje piersi technię!

W uścisku twoim lata mi spłyną,

Jak jeden rajski dzień.

Do woli twojej myśl każdą nagnę:

Serce i duszę masz!

Kochać cię pragnę, być twoją pragnę...

Cóż ty mi wzamian dasz?...

Drugi głos się przyłączył i płynęła pieśń zgodnie, drżąc w wilgotnym powietrzu majowej nocy.

Michał Korabicz minął dziedziniec, otworzył znajomą sobie furtkę i wszedł do parku. Boczna, lipowa aleja zakręcała się tuż koło jego siedziby i przez wieś szła dalej Korabicz przebiegł ją przedko. Idąc, oddychał ciężko, jakby jakie brzemie unosił na swojej piersi, lub od widma umykał. Zatrzymał się dopiero u sztachet okalających domostwo, zwrócił się, spojrzął na przebytą drogę i obiema dłońmi za czoło się schwylił.

— Jezus Marya! Jezus Marya! — zawołał — ja jeszcze kocham!... a zdawało mi się, że wszystko precz wyleciało z pamięci i serca... Po dwóch latach dobrowolnej tułaczki, gdy próg swojego domu przestąpił — ot, sześć godzin zaledwie temu — byłem zupełnie spokojny, tak spokojny, że poszedłem zaraz tam, do nich!... Trochę mi serce biło, gdy rękę położyłem na kłamece od furtki... ale to takie zwyczajne! Sprzęt długo niewidziany, z którym się łączyło wspomnienie jakieś, poruszyć nas może, a cóż dopiero to, co się tak bardzo kochało?... Przeszło wszystko — myślałem, wychodząc z cieniów lip... Nagle na ganku zobaczyłem ją przy mężu. Stała, ogarnęła mnie strach, chciałem uciekać, ale Zygmunt był już przy mnie i... kto tam? pytał... Ha! dobrze, że się tak stało — myślałem. Powróć wszystkie wspomnienia, ale już raz ostatni! zginię je, zabiję — i będę spokojny. I powróciły wspomnienia — i dawna miłość wróciła, dziewiąta fala, z którą do walki sił nie mam!...

W dłoniach twarz ukrył, jakiś ryk stłumionego jęku z piersi mu wypadł.

Długo tak stał oparty o sztachety, wpatrzony w ciemność; długo później paliło się światło w pokoju pana Michała Korabicza. Przepełdził bezsenne noc całą, snując rozmaite projekta i plany na przyszłość. Zrazu myśl powtórej ucieczki stanęła przed nim jako jedyny środek ratunku — ale będzie ona ratunkiem? — myślał.

— Nie, przegrałem batalią! Gdybym nie wracał, gdybym nie był wrócił do ścian tego domu, napelnionego tylu wspomnieniami, zapomnianym może. Podczas tej dwuletniej tułaczki ukłótyły się smutki, zatarły się nawet w pamięci rysy ukochanej kobiety... Uwierzyłem w potęgę czasu i — och! — poznałem szalbierstwo uczucia!... Oszukało pamięć, oszukało serce!

Jaki-by teraz był cel ucieczki?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Dnia 1 Marca 1892 r.

Chwilowy powrót zimy. — Wilgoć i roztopy. — Ministerium Freycineta na falach powodzi. — Powody upadku. — Nowy gabinet Loubeta i policzek za policzek. — Constans opuszczony przez wszystkich. — Zapowiedź krachu w teatrze. — Krytyka i publiczność. — Gwałtu, nowości! — Odpowiedź Augiera. — Chirac i jego repertuar. — Teatr realistyczny. — Przeróbka i naśladowanie starych. — Ibsen na scenie francuskiej. — Nowa sztuka w Teatrze Francuskim *Par Le Glaive* Richepina. — Nowa opera Mascagniego *Cavalleria Rusticana*. — Sąd i przyjęcie w Paryżu. — Nowe książki. *Tajemnica sprawy w Fourmies*, Drumonta. Pojedynki żydowski. — *Rose et Ninette*, Alfonsa Daudeta. — Prawo rozwodowe — E. Zoli. — „Roztop“ (*Le Débacle*). — Kobiety uczące się na fakultecie paryżkim. — Wyrok śmierci na Anastasja. — Deacon i Ale-cille; morderstwo w Cannes. — Kalemur.

Dotychczas nie mieliśmy zimy, tylko coś nakształt naszej późnej jesieni, przeplatanej przymrozkami — trochę deszczu, i wiele dni słonecznych. Zdawało się, żeśmy już wyszli tryumfując, kiedy nagle, nie ztąd nie z owad, d. 16-go Lutego zmieniła się postać rzeczy, i 17-go Paryż obudził się pokryty śnieżną osłoną. O trzeciej z północy, ten płaszczyk biały pokrywał już ulice i dachy domów. Trwało to do ranka; o godzinie 9-ej uspokoiła się śnieżnica, śnieg zaczął powoli topnieć, aż nastąpiła gwałtowna odwilż. Nie trwało to jednak długo: około godziny jedenastej śnieg jał nanowo padać, a około 3-ej z południa śnieżnica tak się wzmogła, że wszelki ruch kołowy i pieszy stał się prawie niepodobnym. Ostry wiatr północno-zachodni powiększył jeszcze złe, zmieniając spokojny atmosferyczny opad w okropną zamięć, tak, że światła Bożego nie było widać. Do tramwajów, omnibusów trzeba było zaprzęgać świeże konie, a fiakry tylko noga za nogą przesuwały się po ulicach.

Nakoniec, około godziny 5-ej, śnieg zaczął się zmniejszać, i wkrótce, dzięki odwilży, zmienił się w okropne błoko, prawdziwą plagę przechodniów. Nastąpiła okropna chlapanina. Można by z nią porównać chyba warszawskie błoto. Co się tu działo na tych wielkich, wspaniałych bulwarach, zmienionych w jakąś brudną, cuchnącą rzekę, płynnego błoka — tego nie opisać. *Extra muros* Paryża śnieg trzymał się jeszcze dni kilka, aż nakoniec nastąpił ogólny roztop — a z nim zniknęła ta brzydka recydywa, udająca zimę. Poszło wszystko do kanałów, z kanałów do rzeki, którą, chcąc nie chcąc, my tutaj musimy pochłaniać w postaci wody do picia.

Razem z tą powodzią, która uniosła śnieg i błoto Paryża — popłynęło i ostatnie ministerium. Można to było przewidzieć, skoro popychane przez skrajne, radykalne żywioły parlamentu, ministerium to znowu podniosło kwestyę religijną. Bez żadnej potrzeby złożono u laski marszałkowskiej projekt do prawa o wolności stowarzyszeń. Zaczynało się to, jak zwykle, że wszelkie stowarzy-

szczenia są wolne — oprócz klerykalnych. Spokawszy się z groźną opozycją, rząd ni z tego ni z owego, postawił kwestyą zaufania — a pobity, złożył swoją dymisyję.

Mieliśmy więc bezrobocie, które skończyło się powrotem na scenę tychczasowych dygnitarzy, z wypuszczeniem kilku tylko nazwisk, a między temi sławnego ministra spraw wewnętrznych p. Constans'a. To wykluczenie tak energicznej osoby zostało dotąd zagadką dla publiczności — a nawet dla wielce ludzi wpływowych.

Wnosząc z powołania na prezesa rady ministrów senatora Loubet'a, — kierownika nowego w sferach rządowych, a osobistego przyjaciela p. Carnot'a — zdawałoby się, że to różnorodne i napręde sklecone ministerium jest wyrazem osobistej tą razą polityki prezydenta republiki; ale ponieważ nie przedstawia się ono w warunkach trwałości, trudno mu przypisać takie znaczenie. Dotąd jeszcze w nowym swym składzie ministerium nie przedstawiło się Izbie; dopiero na 3-go Marca wyznaczył termin wyłożenia swego programu. Trzeba więc czekać, aby osądzić z pewnością: czy ma, lub nie warunki trwałości i bytu?

Zobaczmy zaraz z pierwszych wystąpień: czy nieszczęsne naśladownictwo *kulturkampfu* przyjmie się ostatecznie na ziemi francuskiej? — czy też odrazu je podetną nowi ministrowie, pokrywając milczeniem ostatnie zajście w Izbie. Byłoby to najrozumniej i najpolityczniej; ale czy liczna dosyć frakcja „radykałów“ i socjalistów dopuści do takiego rozwiązania sprawy?

Po wyczerpaniu aż do dna kłamliwej i zwodniczej formułki o wielośćnych edycjach wydawcy paryżey, — jak to już staraliśmy się wyjaśnić w jednym z poprzednich listów zeszłego roku — zmuszeni zostali zatrzeć do odwrotu i zawaliwszy makulaturę księgarskie półki uderzyć się w piersi, przyznać do winy zbyt już jawnie — uczynić spowiedź, iż zubożenie publiczności, jak dotąd, oszukiwanej i co do gatunku i co do wartości literackiej — było ich wielką, bardzo wielką winą...

Publiczność znowu, raz otworzywszy oczy na to co się tu stało w literaturze z powodu czysto handlowych frymarków — poszła za daleko może w swych wymaganiach, chcąc, aby *stante pede* zmieniano, nie tylko front, ale nawet jego składowy materiał — i domaga się na gwałt nowej formy i nowej tendencji.

To poszukiwanie nowości, za którą się upędzali najpierw sami autorowie i fabrykanci romansów, stało się dziś prawdziwą plagą, bacząc na to, że stworzyć coś nowego w piśmiennictwie, tak na rozkaz, na skinienie — jest to gonić za mrzonką i złudzeniem. Ale tutaj tak było zawsze i we wszystkim. Każde nowe sitko na kołeczku, — a choć to nie trwa długo, daje przecież zaspokojenie chwilowe temu napieraniu się: szybki z okna, gwiazdki z nieba, — prawdziwie zepsutych dzieci, tej publiczności francuskiej.

Ta prawdziwa influenecja przeszła szybko z literatury na scenę — i słyszę zewsząd przepowiednie teatralnego krachu. Pessimistyczny okrzyk jest może zawczesnym. Bo przecież dyrektorowie tutejszych teatrów nie bankrutują, ani częściej, ani gorzej niż dawniej, a jeśli który się poślizgnie i padnie, zaraz na jego miejsce znajdzie się dziesięciu gotowych zastępców — pisarze zaś dramatyczni zyskują grube summy i aktorowie również. Francja, jak zawsze, dostarcza całemu światu komedii i wodewilów. A jeśli zdarzyły się w ostatnich czasach fatalne upadki na takich nawet scenach, jak owa sławna scena francuskiego teatru, to też i powodzenia nie są rzadkie — i jak się pokazuje z afiszów, sztuki o stu i dwustu reprezentacjach nie są wcale wyjątkowym fenomenem teatralnym.

Wogóle zatem jest to położenie pomyślne dla przedsiębiorstwa dramatycznego, choćby tylko pod względem materyalnym — a toż przecie główne *objectivum* dla tych, co się na te wody puszczają! I wszystko to dzieje się pomimo szalonej konkurencji ogródków *śpiewających*, jak tu powiadają: „kawiarni“ i nieskończonej liczby zakładów poświęconych przyjemności i zabawie.

Zgadza się więc, że pomyślność teatrów jest

jeszcze wielka w Paryżu, ale trzeba powiedzieć, że ta pomyślność nie ma zapewnionego jutra, i że po horyzoncie zakulisowym często przelatują chmury. Wiedzą o tem doskonale doświadczeni dyrektorowie, a niema ani jednego, któryby w przyszłość patrzył spokojnym wzrokiem. Każdy z nich czuje, że pewien krach już faluje w powietrzu, że przesilenie może wystrzelić, jak piorun z pogodnego nieba — a kryzys ta zagraża zarazem produkcji i idealowi teatralnemu.

Czyż to nie uderzający symptomat, że krytyka teatralna, wzięta w swej całości, nie jest nigdy prawie w zgodzie z sądem publiczności? Bo to się zdarza tutaj, można powiedzieć, codziennie prawie. Sztuki, które krytyka osądziła, jako bardzo, bardzo zajmujące, publiczność wygwizdała okrutnie. Przeciwnie, sztuki, które zwykle sędziowie z profesji uważali za lichą miernotę, traktując je z góry, z prądziwą obojętnością, miały powodzenie szalone. Czuć więc, że się tu coś spacyło, i że nastąpić musi przewrót niechybny. Nie pierwszy to raz się zdarza. Dotychczas jest to głos jeszcze mniejszości; ale czyż nie widzimy owej to mniejszości, prowadzącej większość za sobą — a szczególnie taką większość jak tutejsza, która niczego tak się nie lęka, jak tej ostateczności, że nie będzie w *poociagu*?

Powiedzmy prawdę, że to bije w oczy i nie da się niczem zaprzeczyć. Publicznością teatralną, tą, z której żyją wszystkie sceny, oświeciła w tej chwili niezmiernie żądza nowości, złączona z niewypowiedzianym niesmakiem zużytych starych formulek z kilku wieków przed naszą erą.

Stara forma daje wprawdzie odlew podobny do dawniejszych, ale teraz bardziej mdle i nieforemne. Nie mówię tu wcale o wyższej, prawdziwej komedii charakterów, która panuje i stoi ponad wszelką szkołą i modą. Dziś zdaje się jakby brakło ludzi mających siłę i potęgę twórczą — a może wstrzymują się tylko i dobrowolnie opuszczają szranki zapasów twardych; a może czują ten mimowolny przestrach wobec owego pożądliwego pragnienia nowości, któremu podołać nie czują się na siłach.

Na dwa czy trzy lata przed śmiercią Augier, naciśnany był przez jednego z pierwszych dyrektorów sceny paryskiej, aby dał jeszcze jakie nowe dzieło. — Nikt lepiej od ciebie nie pisze — szeptał kusiciel — nie jest równie zręczny i śmiały, aby odpowiedzieć w pełni żądaniom krytyki i oczekiwaniom publiczności, — wcielić i oddać te zmiany, jakie wprowadził w naszą społeczność *virus* demokratyczny. Augier się wymówił, a uczynił to nie bez pewnej smętności w myślach. — Rozumiem — rzekł, że potrzeba czegoś nowego, ale się lękam stracić zbyt wiele, puszczając się na te nieznane nowe obszary. Kto wie, czy to zwątpienie, które ma swój powód, swoje jakby *ratio physica*, nie przyniata i dziś całym swym ciężarem tych, co pozostali, aby się podzielić spuścizną znakomitego dramaturga? Słowem, jesteśmy na przełomie i w przededniu jakiegoś przewrotu. Jakiego? *That is the question!*

Dramat romantyczny, tak niegdyś modny, dziś wstępnie budzi. Ratują go chyba jeszcze sztuki Wiktora Hugo, i to pięknością wiersza i blaskiem wystawy. Taki *Hernani* albo *Ruy Blas* trzymają się jeszcze, ale żadne naśladownictwo ich formy, nie ma posłuchu u publiczności...

Komedyje sentymentalne, dawniejsze wodewile przestały się raptem podobać, choć wyszły spod pióra ludzi prawdziwego talentu. Cóż może być bardziej stanowczego w tym względzie nad niepowodzenie, jakiego doznała ostatnia sztuka pana Ohnet'a? Dowodzi to, jak gwałtowne reakcje mogą się objawić w teatrze ze strony zniechęconej publiczności. Wszelkie owe tak ulubione osoby tych sztuk poszły w kąt bez ceremonii. Taki zdrójca-bohater melodramatu, cnotliwy inżynier, miła świekra, naiwna panna na wydaniu, zniknęły ze sceny niepowrotnie.

Z powodu tego poszukiwania nowości powstał na bruku paryżkim ów sławny „Théâtre Antoine“ inaczej „Théâtre Libre“. Skorzystał on z tego niesmaku publiczności do dawnych konwencyonalnych formulek, dając szerszy przystęp prawdzie i obserwacji faktów prosto z natury. W tem jest jego pewna zasługa i tej mu ująć nikt nie może.

Ale, niestety, przedstawiał się ten teatr pod godłem klanu nowatorów nie najczystszej wody, którzy nie zrozumieli tego, że wszelka reforma jest sprawą postępu, że wywracanie całego zasobu tradycji do góry nogami jest rzeczą niekonsekwentną i szkodliwą. Głównym błędem teatru wolnego było to, że dostawcy sztuk nowych, nieznanego talenta, zbyt często grubiaństwo i nieprzystojność wyrażenia brali za śmiałość i siłę. Zgadza się całkowicie na to, iż należy wprowadzić na scenę więcej naturalności i prawdy; ale ta prawda, zaczerpnięta z obserwacji życia realnego, wymaga wyboru i uporządkowania, bez czego niema i być nie może sztuki. Nie można bowiem mieć preferencji do przedstawiania na scenie natury jako całości: bierzemy z niej cząstkę — i to jakąś milionową; trzeba więc dla tej cząstki stworzyć i zorganizować cały jej odrębny świat. I to jest zadanie talentu — na tem zależy cała sztuka!..

Chęć wyłamania się spod tej reguły nie może być dziełem chyba awanturników literackich, którzy własne, niedowarzone, nieokreślone i głupie mrzonki chcieliby postawić za modły i źródła dla nowych kreacji. Ztąd niesmak, zagmatwanie, i ta jakby w powietrzu zawieszona groźba *krachu* teatralnego — i to poszukiwanie czegoś nowego na gwałt, które prowadzi wprost, jak tu widzieliśmy w czynie, do czubków, albo do policyi poprawczej.

W tem poszukiwaniu nowości, jakby jakiegoś kamienia filozoficznego, próbowano rozmaitych środków, a między temi — zupełnej wolności sceny, to jest zniesienia cenzury. A że tu zawsze znajduje się taki, który gotów przywiązać rondel do kocięgo ogona, znalazł się więc i taki, który, nie czekając zniesienia legalnego cenzury, wystąpił samopas na scenę.

Młody człowiek nazwiskiem *de Chirac*, który jest zarazem autorem, aktorem i przedsiębiorcą teatru, postanowił dać próbę tej swobody na scenie, dając przedstawienie, w specjalnej sali, najętej na ten cel przy ulicy *Rochechouart*, przedstawienie najdziwniejsze, a powiedzmy najobrzydliwsze, jakie być mogło nawet pod tem tu słońcem paryżkiem.

W teatrze realistycznym — taki bowiem tytuł nadał ów jegomość swej entepryzie — odegrano trzy czy cztery sztuki, których same tytuły byłyby zgorszeniem dla moich czytelników, i dlatego daję temu pokój. Chociaż p. *de Chirac* zaprosił urzędowych krytyków na swe gody, żaden z nich, zdaje się, nie dał się wciągnąć w kabałę — i dopiero z protokołu kommissarza policyi dowiedzieliśmy się, że w przedstawieniu tak dobrze naśladowano naturę, iż publiczność, przygotowana przeciw do tego, na co miała patrzeć, wyszła z cierpliwości i, połamawszy stołki i zydelki, nie pozwoliła skończyć przedstawienia, odsyłając pośrednio samego p. *de Chirac* na ławy policyi poprawczej.

Chociaż dowiedziona dziś jest rzeczą — po skazaniu *de Chiraca* na piętnaście miesięcy więzy, i po umknieniu głównej aktorki do Belgii przed podobną karą, — że przedstawienie w teatrze realistycznym było aktem albo prostej waryacji, albo, co pewniejsze, bezcelnej spekulacji, wierzącej w to, że Paryżanie jak powietrze, tak łatwą skandalu: można jednak z przyczyny całej wyprawki ten pewnik, że Francuzi nie są zdolni mieć u siebie i uszanować prawdziwą i szeroko rozumianą wolność sceny.

Doświadczenie dokonane zostało — można powiedzieć *in anima vili*, to jest zapomocą sztuk pozbawionych wszelkiego talentu, artyzmu i w których cynizm i grubiaństwo gospodarowały bez żadnej kompensaty dowcipu i talentu. A przecież te sztuki, jak się tłómaczył przed sądem *de Chirac*, były tylko słabym naśladownictwem natury! Jest to najlepszy, najpotężniejszy argument dla tych wszystkich, którzy w literaturze i sztuce bronią się tym pewnikiem: naśladownictwo natury! Natura ma swoje prawa twórczości, których nie ma stworzenie. Jest to więc walka Donkiszota z wiatrakami — to upędzanie się za bezwarunkową naturą...

To doświadczenie i inne, na których nie zbywa, dowodzą jeszcze tego, cośmy powiedzieli z góry, że przesyciona, przeładowana publiczność — pra-

gnie czegoś, czego sama określić nie zdoła, co jednak jest zadaniem tej chwili. Jak się to stanie na tym przełomie?—nie wiem. Ale coś stać się musi.

Tymczasem w tej szalonej pogoni Francuzów za nowościami, falanga karczowników nowatorstwa nie znalazła nie łatwiejszego i nie lepszego nad odgrzewanie resztek starej biesiady, albo szukanie zbawienia w produkcjiach egzotycznych. W taki to sposób wioziliśmy w ostatnich czasach wyprawowaną na scenę francuskiego teatru: *The taming of the Shrew* („Ukrócenie złośnicy, sekutnicy”) starego Wiliama, pod tytułem: *Mégère apprivoisée*. Ale, w jakichże warunkach?

Ale raz jeszcze, niestety! ta przeróbka Shakespeare'a komedii, jakże daleka jest od oryginału!—Przypomina to sławne operacje literackie, na początku tego stulecia dokonywane *in anima vili* starego angielskiego dramaturga, pod pokrywką, że barbarzyński tekst Shakespeare'a nie godzi się z oglądą sceny francuskiej! Tak stało się i teraz: sposoby jakich używa Petruccio do oswojenia żony złośnicy—sposoby praktyczne za czasów Shakespeare'a, aż co do kija *inclusive*, wydawały się tu barbarzyństwem, chociaż stary Wiliam spisał je z natury, dzięki czemu właśnie jest to jedna z „najrealniejszych” sztuk jego teatru. Dano więc sztukę przeniesioną na scenę francuską, i cała jej zaleta oparta jest na wybornej grze Coquelina. Publiczność, raz jeszcze w niezgodzie z krytyką, klaszczącą w dłonie, przyjęła zimno te próby poprawek—i miała zupełną słuszość—oddajmy jej tę sprawiedliwość.

(Dokończenie nastąpi).

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dalszy ciąg).

Właśnie mieliśmy się w ten wawóz spuścić, gdy idący przedemną z barometrem kruman *Tai* odwrócił się raptem i właściwym mu ochrypłym, grobowym głosem wyrzekł tylko: „*Mami! look*” („Pani, patrz”), nie wdając się w bliższe określenia.

Zatrzymałam się, i podnosząc oczy w górę zaczęłam szukać na co on mi patrzeć radzi. Wprawdzie nademną, jakby druga rzeka, ujęta w postrzępione brzegi rozdartego przez wodny parów gąszczu, płynęła żaróżowiona wstęgą błękitu; wprawdzie na tem tle delikatnem rzeźbiły się cudownie twarde, mieczowate liście wspaniałych krzewów i kapryśne wiązania lianów, od pnia do pnia siatkę swą snujących; nie mogłam przecież posadzać krumana, aby mnie do artystycznej kontemplacji tych piękności powoływał.

Trwało to dobrą chwilę. On stał, patrząc na mnie, ja stałam rozglądając się dokoła, aż nadchodzący za mną mniej lakoniczny murzyn krzyknął: „*Mami! ants!*” („Pani! Mrówki!”)—Skoczyłam jak oparzona—niestety, już zapóźno!—Pokazało się, że przez cały ten czas stałam sobie najsłodszej w ogromnym mrówisku, a owe „*Mami look*”, dzięki któremu tak nie w porę zatrzymałam się, miało być właśnie ostrzeżeniem.

W chwilę potem las napełnił się przeraźliwym wrzaskiem. Nie wstydyż się bynajmniej przyznać, że to ja tak krzyczałam. Duże, czarne afrykańskie mrówki nie żartują, gdy gryzą, a są tak zażarte, że gdy się wpiją w ciało, wprzód się dadzą rozerwać nim puszczą swoją ofiarę. Skoro więc kilkadziesiąt takich miłych żyjatek zacznie dawać znaki swej obecności, a drugie tyle spaceruje po ciele, zanim się do roboty zabierze, skoro się ma na sobie obcisły strój męzki i skórzane gietry po kolana, zapięte na parę tuzinów sprzączek, skoro się jest ko-

biętą jedyną wśród kilkunastu mężczyzn, i nie mogącą nawet w najkrytyczniejszej chwili zapomnieć o prawidłach przyzwoitości, skoro w dodatku stoi się na stromej, oślizgłej ścieżce nad przepaścią, gdzie ani usiąść, ani się nigdzie skryć nie można,—wtedy położenie jest w istocie rozpaczliwem.

Ale rozpacz wobec mrówek ma to dobre, że sił dodaje.

Sama prawie nie wiedziałam, jak zbiegłam, a raczej stoczyłam się, na dno parowu, jak skacząc po kamieniach przebyłam rzeczkę i wdrapałam się na przeciwległy brzeg, i jak, ubiegłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków pod górę wśród konwulsyjnych podrygów, zatrzymałam się wreszcie bez tchu, dygocząc z nerwowego podniecenia na wielkim jakimś pniem, i tam dopiero, mogłam rozpocząć walkę z memi dręczycielkami. Jak zwykle w takich razach, sprzączki nie chciały się odpinać, tasiemki rozwiązywać; tragarz niosący rzeczy na zmianę znalazł się właśnie na końcu karawany: dość, że nim się od stóp do głów przebrałam, znalazłam się literalnie bez zdrowego miejsca na ciele i bez głosu w gardle.

Jedno ukąszenie jadowitego węża brzmi bardzo tragicznie; ale paręset ukłóć *driversów*, czyli wędrownych mrówek, jest o wiele bolesniejszem.

Tymczasem Rogoziński dyrygował pośpiesznem rozpinaniem namiotu nieopodal.

Miejsce to nieczem się nie różniło od reszty otoczenia, i na pierwszy rzut oka wydało mi się niepodobieństwem, aby tu można było nocować, w takim gąszczu i na takiej spadzistości. Gąszcz znikł jednak szybko pod czternastoma kotłasami silnych krumanów, a chociaż namiot rozpięty nad oczyszczonym w ten sposób placikiem chylił się gorzej, wieży pizańskiej, zapewniał jednak schronienie tem pożądanemu, że deszcz kropić zaczynał.

Większy kłopot był z ustawieniem wewnątrz łózek polowych.

Spadzistość bowiem była tak wielką, że dopiero po wykopaniu głębokich dołów pod dwie nogi każdego łóżka z jednej strony, a podłożeniu dużych kamieni pod dwie przeciwległe, mogło się na nich jako tako strudzone członki rozciągnąć.

Wieczór nastąpił szybko, ciemny i chłodny. Deszcz rozpadał się w najlepsze, a ponury szum jego wyśpiewywał nam niepożądane horoskopy jutrzejszego marszu.

Za namiotem wywieszony na drążkach termometr wskazywał ciepła 17 stopni R., a znaczne zmniejszenie się ciśnienia barometrycznego było wymownym dowodem jak wielką już ku górze przebyliśmy przestrzeń za sobą; podometr wykazywał 10.000 kroków od wyjścia z *Bau-Besé*.

Dokoła namiotu rozpalono cztery ognie na całą noc, tak dla ciepła, jak dla odstraszania mrówek i płazów.

Pomimo, że bardzo zmęczona, nie mogłam zasnąć.—Otaczająca mnie zewsząd dzika, ku niebu pnąca się puszcza, tajemnicze nieznane odgłosy, chichoty, wrzaski, sykania, rozzierające raz po raz głęboką ciszę, jaka po północy z ustaniem deszczu zapadła, fantastyczne migoty, to gasnącego, to wzbuchającego płomienia, łamiące się na płóciennych ścianach namiotu, półgłosne rozmowy czuwających na zmianę przy ogniskach krumanów.

Nazajutrz o świcie cały nasz obóz był na nogach. Ranek chłodny zapowiadał się jednak dość pogodnie. George Scott, skrzywiony i narzekający, gdyż uważał za odpowiednie swemu stopniowi cywilizacji okazywać, że noc spędzona w buszu wiele go utrudziła, po naradzie z przewodnikiem Tiodo oświadczył, że do następnego noclegu nie spotkamy żadnej wody, należy przeto zaopatrzyć się w nią tutaj. Radził także, aby część mniej potrzebnego bagażu zostawić na miejscu, teraz bowiem dopiero zacznie się naprawdę nieciążliwa droga; przyczem, zaliczając mnie widocznie do owej mniej potrzebnej części bagażu, zaproponował, abym pod opieką jednej z żon Tioda wzięła do *Bau-Besé* „póki czas jeszcze”—dodał złowrogo.

Za całą odpowiedź ujęłam mój kij góralski,

a Rogoziński dał znak do wymarszu. Nie przesadził George Scott: był to istotnie pochód piekielny. Z każdym niemal krokiem grunt pod naszymi nogami stawał się bardziej stromym, otaczająca przyroda bardziej surową i nieprzystępną. Mięsiście, mocne krzewy, za które czasem można się było uchwycić, znikły zupełnie, a równocześnie krumani, posuwający się pod swemi ciężkimi ładunkami z zadziwiającą swobodą, zaczęli sykać z bólu, chwytając się za łydki i rozglądać się na wszystkie strony, jakby nieświadomi co im dokucza. Dla nas zagadka stała się jasną wkrótce. Chwyciwszy, nie patrząc, za jakiś krzak, musiałam szybko cofnąć rękę i syknęłam także, ale syknięcie moje zmieniło się natychmiast w okrzyk prawie milego zdziwienia, zupełnie jakgdybym się witała z jakąś dawną niewidzianą, energiczną i twardokościstą znajomą, której szorstkie uściski sprawiły by mi ból, ale i przyjemność zarazem. Krzak ten albowiem był niczem innym jak dużą pokrzywą taką samą pocziwą pokrzywą, jaka pod płotami naszych wiejskich sadów rosnąć lubi, a z jaką się już od dwóch lat nie spotkałam. Oddawszy jednak należyty hołd europejskim wspomnieniom, byłabym wołała na tym jednym bablu poprzestać. Tymczasem był to tylko początek i przez kilka następnych godzin przedzieraliśmy się przez istne morze pokrzyw i ostów, z których niejedne twarze sięgały. Paprociowe pnienie, nabijane ostremi kolcami, stanowiły jedyną kolącą rozmaitość, w tej parząco-drapiącej powodzi.

Na szczęście, w tych bujnych strefach wiele gatunków nadmierne swe bogactwo ilościowe okupuje ubóstwem jednostek. W Europie taka kilkogatunkowa wędrowka przez gęstwiny pokrzyw, zwłaszcza w równie lekkim stroju, jak naszych krumanów, skończyłaby się co najmniej silnem zapaleniem skóry; tu, te złośliwe, włochate liście zieją o wiele słabszym i szybciej przemijającym ogniem.

Około południa zatrzymaliśmy się w miejscu, którego łagodniejszy spadek jakątką dla posilku i odpoczynku zapewniał wygodę. Stała tu grupa potwornie wielkich i grubych—nawet w tem państwie olbrzymów—drzew, o pniach powyginanych w dziwaczne garby. Dwa z nich, zrastając się ze sobą o jakie półtora metra nad ziemią, utworzyły obszerną grootę, gdzie mogliśmy się swobodnie z naszymi zapasami rozłożyć, a nawet rozpaść w niej ogień, któremu na otwartem powietrzu przeszkadzał padający znów obfity deszcz.

Z gałęzi tych drzew zwieszały się rozliczne liany, a pomiędzy nimi dostrzegaliśmy sporą ilość kauczukowych jabłuszek, co było dość ważnem odkryciem, dotychczas bowiem twierdzono powszechnie, że Fernando Poo nie posiada wcale kauczuku.

Druga połowa marszu tego dnia odbyła się w mniej więcej tych samych warunkach, co pierwsza, tylko bubisi nasi, jako nie dźwigający ciężarów i nawykli do tych bardziej dla małp i antylop, niż dla ludzi, stworzonych szlaków, wyprzedzili nas kilkakrotnie tak znacznie, że, straciwszy ich z oczu, byliśmy w obawie zabłądzenia, i trzeba było bardzo energicznie przywoływać ich do porządku.

Tymczasem w miarę zniżania się, blade przez mgły przeświecającej tarczy słonecznej chłód coraz dotkliwszym się stawał, i gdy wreszcie około 6-ej stanęliśmy przy kamienistym łożysku rzeki Esse, cała karawana szczełała zębami. Wywieszony za namiotem termometr wskazywał 6 stopni ciepła R., ale gdyby był wskazywał 6 stopni niższej zera, nie mogłoby nam być zimniej, zwłaszcza, iż odzież nasza od brodzenia wśród nasiąkłej wilgocią rośliny była jak wyciągnięta z wody; poprostu—marzliśmy.

Każdy przedmiot metalowy w dotknięciu sprawiał wrażenie lodu. Kucharczyk nasz, poobwijany w koldry, skulony najpociesniej, wsunął się do namiotu i, dygocząc z zimna i przerażenia, oznajmił mi, że stało się wielkie nieszczęście: masło zepsuło się zupełnie! Nie widział on nigdy masła w innym stanie niż w nawpół płynnym, i raptowne jego stężenie w puszcze nabawiło go tej kulinarnejtrwogi. Ledwo go mogłam uspokoić, że takie właśnie masło jest w porządku. Nocleg to był pod każdym względem fa-

talny. Pochyłość, na jakiej wypadło rozpiąć namiot, była jeszcze większa niż poprzedniej nocy, a twardy jak opoka grunt nie pozwolił wykopać dołów pod nogi łóżek polowych. Stały więc w taki fantastyczny sposób, że leżenie na nich, zamiast być odpoczynkiem było torturą, wymagającą ciągłej gymnastyki, aby się na ziemię nie zsunąć.

To też nazajutrz, nie zmrúżywszy oka przez całą noc, wstałam z korpusem sztywnej lalki, i jakby przyprawionymi rękami i nogami. Ubrawszy się z nieopisanym trudem wywlokłam się przed namiot. Oczekiwał mnie tu dosyć oryginalny widok. Przy odrobinie wyobraźni mogło się zdawać, żeśmy nocowali w samym środku jakiegoś monstrualnego ula. Całe nasze obozowisko, paki, ściany namiotu, wszystko pokryte było szczelnie niby żółtą, ruchomą masą tysiącami pszczoł; w powietrzu wisiała złotawa, pełna brzęku i szumu chmura a wśród niej, wyrzucając głowami, wymachując rękoma, z całą żywiością gęstych wataha wędrownych, uwijali się nasi ludzie.

Na szczęście znowu, afrykańskie pszczoły są równie anemiczne jak afrykańskie pokrzywy. Ukąszenie ich sprawia tylko trochę bólu na razie, nie wywołując w następstwie żadnego zapalenia ani puchliny. W Europie taki napad żądłowatej hordy byłby katastrofą—tutaj niecierpliwili przedewszystkiem, i skończyło się na tem, że musieliśmy wyrzec się śniadania, niechcąc nakarmić się jednocześnie pszczołami, które pomimo, że za każdym z nas stał kruman machający chustką, napelniały co chwila nasze talerze i łyżki.

Niewielka to przesła była ofiara. Woda rzeki Esse, wyschłej prawie pod tę porę i tylko gdzieś niedaleko, wązkim żółtym sznurkiem wijącej się wśród łomów swego łóżyska, była tak mętna i mineralnymi pierwiastkami przesycona, że ugotowane na niej jadło nabierało smaku jakiejś obrzydliwej mistry.

Scott, wychyliwszy swą ranną rozgrzywkę, potężną szklanką *Old Tomu*, oznajmił nam, że dziś będziemy na szczycie, a ponieważ zdążymy jeszcze na nocleg nad Esse, więc najlepiej będzie zastawić tu namiot i prowizye. Nie usłuchaliśmy go—na szczęście!

Ścigani przez pszczoły przeszliśmy na drugą stronę rzeki i wkrótce z wilgotnych mroków leśnych wynurzyliśmy się na przestrzeń otwartą, skapaną w słońcu, porośłą gęstą wysoką trawą, upstrzoną mnóstwem jaskrawego kwiecia.

Jest coś elektryzującego w tem nagłym rozstąpieniu się roślinnego muru, który nas czas długi otaczał, w tem buhucnięciu wolnej fali powietrza w pierwszą przylotową wyziewami nieprzebitej matni drzewnej, w tem zerwaniu ciemnego liściastego dachu znad znękanego głowy, aby nad nią niedoścignięty, przejrzysty błękit nieba zawiesić. Jakieś niewidzialne pęta zdają się spadać z zeszytniałych członków; mgła apatyi, zasnuwająca duszę, rozprasa się w złotych blaskach budzącej się energii.

Dla mnie w tym stanie prostracyi, w jakim od wyjścia z noclegu znajdowałam się, ta cudowna podnieta była poprostu dobrodziejstwem. Kto wie, czy gdyby nie ona, nie byłabym padła gdzie na drodze wyczerpana, niezdolna kroku dalej postąpić; włókłam się bowiem ledwo żywa, z jakimś zamętem w głowie i z nieopisanym bólem we wszystkich stawach, zaciskając zęby, aby się z tem, co się we mnie działo, nie zdradzić i może całej wyprawy w niwecz nie obrócić. Wiedziałam, że za pierwszą skargą z ust moich, mój mąż zapomniaby o wszystkim i chciałby się wrócić bądź-co-bądź, postanowiłam więc niedopuszczyć do tego. Nie żyłam sobie również—choć to był wzgląd podrzędny—aby pan George Scott tryumfował nade mną i okrył się sławą proroka. Wszakże tyłkrotnie zapewniał, że „missis“ na szczyt nie dojdzie i tylko kłopotu narobi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

LIST Z RZYMU.

Zacząć mi trzeba od przeproszenia łaskawego czytelnika, że w bieżącym roku nie wywiązywa-

się, jak należy, z obowiązków moich korespondenta, ale tegoroczny karnawał rzymski okazał się w całym znaczeniu tego wyrazu kar nawałem; ludzie znajdowali się też w stanie takim wrażeń i wzruszeń ciągłych, że niełatwo było zasiąść przy biurku i piórem się zabawić. Niewątpliwie już wam to jest z dzienników wiadomem, żeśmy tu przeszli przez klęskę pożaru, a potem przez wstrząsające wrażenia trzęsienia ziemi. Przez nieostrożność hr. Leonowej z Małachowskich Rzewuskiej spalił się tu pałacyk, położony na rogu Placu Hiszpańskiego i uliczki San Sebastianello, przyczem nie tylko ta pani utraciła wspaniałe sprzęty, starożytne kobierce, srebra, przedmioty sztuki, oraz archiwum rodzinne, ale mieszkający ponad nią malarz Corrodi, posiadający cenną galerię obrazów i muzeum dzieł sztuki, oraz zabytków starożytnych, stracił to wszystko, jak i kapitan Moor, zajmujący trzecie piętro, którego biblioteka zawierała obok bogatego księgozbioru bardzo drogie rękopisy. Hrabina nieszczęśliwie sprowadziła to wszystko przez nieostrożnie rzuconą zapalną świecę od której zapaliły się firanki, a zajęta gaszeniem ognia, który w moment pokój cały objął i do następnych się rozszerzył, nie pomyślała o daniu znać sąsiadom, co się dzieje, a że rodzina Corrodi liczy siedmioro małych dzieci, mogło się stać straszne nieszczęście.

Straż ogniowa, po którą posłano, przybyła we dwie godziny po wybuchu pożaru, i to z dwiema tylko starami, popsutymi sikawkami. Była to wigilia Ś-go Antoniego Opatu, patrona od ognia, więc wszystkie inne zostały przeprowadzone przed wieczorem na drugi koniec Rzymu do kościoła tego Świętego, gdzie nazajutrz miały otrzymać doroczne błogosławieństwo, strażacy zaś zabawiali się wesoło na dorocznie w ten dzień wyprawianej sobie biesiadzie. Ci, którzy znaleźli się w koszarach i przybyli na ratunek, okazali wielką odwagę i przytomność umysłu, nie było to przecież dostatecznem, aby przy takiej liczbie i przy takich środkach ratunkowych mogli opanować ogień. To też podniesiono potem w parlamencie kwestyą złej organizacji straży ogniowej, wytworzyła się nawet z tego sprawa bardzo gorąca, która przeszła do dzienników, co jednak może być pomocnem dla przyszłości tylko. Hr. Rzewuska odzyskała przecież w sposób niespodziewany wiele kosztownych klejnotów i 21,000 skudów w papierach, oraz tysiąc napoleondorów w złocie, ponieważ to wszystko znajdowało się w stalowej kasie, którą odgrzebano zpod zgliszcz. Ale jej sąsiedzi, Corrodi i Moor, stracili całe mienie swoje i wytoczyli jej proces, który właśnie w tych dniach przegrana, skazana przez sądy włoskie na odszkodowanie strat, z jej przyczyny poniesionych. Pałacyk, własność *Braci Szkół chrześcijańskich*, był na szczęście zaassekuirowany w Towarzystwie Venezia, ale tylko na 250,000 skudów, co nie pokrywa straty. Hrabina jest tak rozgniewana przegrana, że wyjeżdża do Paryża, na niepowrócenie tu już nigdy, choć nie można powiedzieć, aby sądy włoskie dopuściły się niesprawiedliwości.

Trzęsienie ziemi dało się czuć w Rzymie tylko trzy minuty, nie zrzuciło też szkód żadnych prócz trwogi, jaka naturalnie przejęła nie tylko tchórzliwych. Czując, że ziemia pod nogami naszymi przestaje być oparciem pewnem — to uczucie nie dające się wyrazić przez słowa, jak tego doświadczyłem. Trzęsienie objęło całą prowincję starożytnego Latium, obfitującą w wygasłe przed wiekami wulkany, których ognie płoną może jeszcze we wnętrzu ziemi. W Górach Albańskich przerażona ludność lękała się długo szukać uchrony pod dachem wstrząśniętych, uszkodzonych domostw; sypiano pod gołym niebem w beczkach wysłanych słomą. Szkody są bardzo znaczne; całe wybrzeże jeziora Nemi zostało silnie wstrząśniętem; w Civita Lavinia, po nad którem unosi się cień słodkiego piewcy uroków natury, Wergiliusza, porysowały się mury budynków, kilka domów zapadło się w ziemię; starożytny kościół kapucynów ma kopułę tak uszkodzoną, że nabożeństwo odbywać się musiało czas jakiś pod gołym niebem; ratusz groził też upadkiem, wieżycy jedna runęła, przysypawszy gruzami swoimi dwóch ludzi. Słynny z klasycznej szlachetności swego stylu pałac Sforza Cesarini ucierpiał silnie a ludność

Velletri chciała się porwać na naczelnika geodajicznego obserwatorium z powodu, iż nie potrafił trzęsienia przewidzieć i nie uprzedziło nim. Punktem jego środkowem było jezioro Nemi; włóścianie nadbrzeżnych okolic utrzymywali, że w chwili katastrofy błyskało się ponad powierzchnią wód jeziora, przeciwko czemu badacz tych fenomenów natury, prof. Derossi nie wystąpił z opozycją, bo księga natury nie została jeszcze tak odcyfrowana przez człowieka, aby znał i wiedział wszystko.

Włochy obchodzą w bieżącym roku dwie rocznice, budzące wszechświatowy interes. Pięćsetlecie odkrycia Ameryki przez Krysztofa Kolumba uczczone będzie wystawą włosko-amerykańską w Genui; otwarta w dniu 1-go czerwca, ma trwać do ostatniego listopada, a król Humbert przyjął na siebie godność jej prezydenta honorowego. Można się spodziewać, że będzie to co widzieć, bo nowy świat chce się na niej zaprezentować staremu światu z cywilizacją swoją, z postępem swoim. Syndyk Genui wyznaczył jej 130.000 metrów kwadratowych miejsca, a przestrzeń ta obejmuje płaszczyznę del Bisagno między morzem a nowymi dzielnicami Genui: Carignano i San Vincenzo. Oprócz pawilonu królewskiego, pawilonu rządu amerykańskiego i kiosków amerykańskich, które mają być bardzo ozdobne, pyszne nawet, będzie się wznosiła galeria włoska sztuk pięknych, galeria wystawy win i wspaniała, jak głosi naprzód fama, sala koncertowa, mająca służyć naprzemiennie na miejsce rozmaitych konferencji, oraz odczytów. W czasie jej trwania odsłonięciem zostanie pomnik szlachejnych synów Genui: Garibaldiego, oraz księcia Gallieri, wspaniałomyślnego filantropa. Kompozytor Franchetti napisał operę p. t. „Cristoforo Colombo“, przeznaczoną do wystawienia w dniu pierwszym wystawy.

Jubileusz stułecnej rocznicy urodzin Rossini'ego odbył się d. 29 lutego w Wenecyi. Urodził się on wprawdzie w Pesaro, małym miasteczku Romanii, ale pierwsze dzieło jego natchnienia: „La cambiale di matrimonio“ dało się poznać ludziom w Wenecyi, więc tu rozpoczęło się jego życie artystyczne. Było to w 1810 r., lecz sława nie zbiegła zaraz w jego ramiona z wieńcem, których tysiące słała mu potem pod nogi. Kompozytor miał wtedy rok osiemnasty, ale powiedzieć można, iż go wykłosała muzyka, bo matka jego była śpiewaczką w wędrownym trupie, która śpiewała w teatrykach prowincjonalnych, a nawet nieraz „pod gołym niebem“, jak syn napisał we wspomnieniach swojej młodości, więc w ogródkach; ojciec — waltornista w orkiestrach pomniejszych teatrów. I on sam za lat bardzo młodych już się przykładał do utrzymania rodzinnego ogniska, grywał w orkiestrach teatrów, na których scenie matka jego śpiewała, i sam też śpiewował w chórach kościelnych, a miał głos bardzo wdzięczny i były chwile, że myślał poświęcić się karierze śpiewaczej. Nauka najpierw nut, a potem zasad muzyki, przychodziła mu nadzwyczaj łatwo; zdawać się mogło, iż on to wszystko już wie, — że gdzieś, kiedyś stało mu się to wiadomem i teraz potrzebuje tylko przypomnieć to sobie. Nie wiedzieć za czym staraniem, rodziców, czy księdza Matei, który był nauczycielem kontrpunktu w bolońskim *Liceo filharmonico* i szczególnym opiekunem młodego Gioacchino, dostał się on tutaj; ale była w jego naturze ta niepodległość, wspólna wszystkim wyższemu talentom, ta indywidualność artystyczna, której ciężka szkoła, reguła, i w siedemnastym roku już się zpod niej wyzwała, rozwija indywidualne zasoby swojego talentu w kantacie: „Il Pianto d'armonia per la morte d'Orfeo“ i zyskuje sobie zaraz sławę wraz z podstawą dla życia, bo zostaje dyrektorem filharmonicznych koncertów w Bolonii; otrzymuje tu bardzo skromną pensję, ale jest to sposób utrzymania życia, a przytem jego miłość muzyki nie daje mu się liczyć z groszem, pytać się, co jest tu tania, co drogo zapłaconem? Pierwsza jego opera: *La Cambiale di Matrimonio* nie wywarła wielkiego wrażenia, nie była też tem dziełem sztuki, w której remby duch artysty już samodzielnie rozwinął skrzydła. Utworem, który przyniósł Rossini'emu sławę — utworem, w którym talent jego już przemówił, była opera *Tancredi*, wystawiona w 1813 r. w Wenecyi; ona-to zyskała mu sławę, i odtąd już

zawsze kierującą rydwanem jego życia. Był on przecież dla otoczenia swego tylko początkującym muzykiem i musiał przechodzić próby tego położenia. Primadonna, signorina Malanotte, nie była zadowolona z aryi pewnej, i on biedak wyszedł z ostatniej próby zmartwiony, lekający się o dzieło swoje. Postanowił coś tu przerobić, coś ująć, coś dodać, a że w domu nie zastał obiadu na czas podanego, postanowił skorzystać z chwili i siadł do roboty. Ryż nie był jeszcze ugotowanym, a jemu właśnie odezwał się w duszy jakiś motyw, odpowiadający przedmiotowi, więc siadł, aby zanotować go sobie, lecz pióro jego biegło szybko, kolumny nut rosły, i zanim ów ryż, na który czekał, zdążył się dogotować, on w kilkanaście minut stworzył przepiękną cantilene, wyrażającą radość spotkania drogiej nam osoby po długich próbach oddalenia i tęsknoty. Arya ta otrzymała w historii jego utworów nazwę *Aryi ryżu*: „L'aria dei Rizzi”, u choć miał on, jak utrzymują historycy jego, zapożyczyć się tu i wziąć motyw z litanii greckiej, słyszanej na jednej z wysepek lagunów weneckich, została na zawsze wdzięczną perłą wśród utworów jego talentu.

Wkrótce potem przyszedł „L'Italiana in Algieri”, „Otello”, „Il Barbiere” — wszystko w jednym czasie. Z Wenecji udał się do Mediolanu, do Rzymu, Neapolu, gdzie lat kilka był dyrektorem opery i gdzie się ożenił z pierwszą jej śpiewaczką, signoriną Colbran. Zwiedził Wiedeń, Paryż, Londyn, słyszał wszystkich wielkich muzyków swego czasu, aż w 1829 r. osiadł stale w Paryżu, gdzie tworzył z obfitością, mogącą być udziałem tylko wielkich talentów. I zarazem używał tu życia w pełni sławy i wszystkich darów, jakie ona niesie ze sobą. Kwiat tej sławy dał mu w 1829 roku „Wilhelm Tell”, śpiewany na scenie opery paryskiej aż do 1867 r.

Umarł też w Paryżu d. 13 listopada 1868 r. Ostatniem jego dziełem był „Wilhelm Tell”, najszlachetniejsza z jego oper. Już potem stworzył tylko „Stabat Mater” i „Wielką Mszę”, kompozycje wysokiej piękności, które pozostaną na zawsze w dziedzynie sztuki jako dzieła wielkiego talentu i podniosłego ducha. Tak ukochał Paryż — ideę, którą żyła wówczas stolica Francji, że Londyn, gdzie wysoko ceniono jego kompozycje, że w przeciągu niespełna dwóch miesięcy zebrał około 250.000 fr., nie zdołał go przywiązać do siebie. Przywiązanie jego do Francji, do Paryża poświadcza testament, w którym zapisał miastu temu miliony, wprawdzie na budowę przytułku dla muzyków: Włochów i Francuzów. Za życia jego korzystało z jego hojnej przyjaźni wielu muzyków wyższego natchnienia: Boïeldieu, Auber, Hérold, Cherubini, Donizetti, Bellini. Nie przyjął Krzyża Legii Honorowej, odstąpił go Héroldowi. Meyerbeer usilnemi staraniami sprowadził do Paryża.

We dwadzieścia lat po zgonie Włochy zapragnęły posiąść zwłoki genialnego swego syna: sprowadzono je kosztem państwa i złożono w kościele *Santa Croce* — panteonie włoskim, gdzie spoczywają popioły Danta, Galileusza, Michała Anioła.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Kronika najnowszych odkryć i wynalazków naukowych. — Niagara, jako motor. — Sztuczny deszcz. — Haemol i Haemogallol.

Inżynierowie amerykańscy oddawna już przeżyli nad tem: w jaki sposób możnaby najpraktyczniej zużytkować wodospad Niagary do celów fabrycznych i przemysłowych, — tę olbrzymią siłę naturalną, która, jak dotąd, idzie na marne. A siła ta kolosalna. W ostatnich czasach czasopismo niemieckie „Kosmos” zamieściło pracę opartą na badaniu siły spadku wody w tej olbrzymiej katarakcie, a z badań wypadło, że co godzi-

na z wysokości skał niagarskich spływa 10 milion. centn. metr. wody. Gdy zamienimy tę olbrzymią masę spadającej wody na siłę rozpędową, okaże się ona równą 16 mil. koni parowych. W celu rozwinięcia podobnej siły zapomocą machin parowych wypadłoby od razu spalić całkowity zapas węgla kamiennego, znajdującego się na naszym globie.

Do ostatnich czasów siła wodospadów prawie nigdzie nie była zastosowaną do celów praktycznych, nasamprzód dla tego, że znajdują się one w miejscach bezludnych, a potem możnaby, skutkiem tego właśnie, skorzystać tylko z nieznacznej części owej kolosalnej siły, t. j. dla jakichś kilku, lub wreszcie kilkunastu fabryk, wybudowanych umyślnie w celu korzystania z tego taniego motoru, który, po policzeniu kosztów urządzenia okazałby się weale nie tanim.

Obecnie jednakże technika rozporządza wszystkimi środkami, aby ująć, skoncentrować jaknajwiększą siłę i, co najważniejsza, przesłać ją na żadaną odległość. Środki te osiągnęła technika przy pomocy elektryczności, a od tej pory uwaga inżynierów amerykańskich zwróciła się ku wodospadowi Niagary jeszcze daleko żywiej. Zaczęto wszechstronnie rozbić kwestyą zużytkowania ku celom praktycznym tego olbrzymiego motoru, i to nie tylko na miejscu i w bliskości, lecz i w odległości setek kilometrów. Pierwszą myśl w tym względzie podjął znakomity inżynier Thompson, który dowodził, że New-York może doskonale korzystać z siły wodospadu, i zdaje się, że pomysły znakomitego technika blizkim jest urzeczywistnienia.

Powyżej przytoczyliśmy liczby, wyrażające siłę wodospadu niagarskiego; w ostatnich czasach dokonano wielu nowych obliczeń, i jakkolwiek liczby różnią się znacznie, w każdym razie przekonano się, że minimalna owa siła spadającej wody równa się sile 6 milionów koni parowych.

Wypracowano projekt i utworzono specjalną kommisję do jego rozpatrzenia a wkrótce, z właściwą Amerykanom szybkością, znalazło się i towarzystwo (Cataract Construction Company) z odpowiednim kapitałem.

Przyjrzyjmy się teraz pokrótce: w jaki sposób Amerykanie zamierzają okiełznać Niagarę. Przedewszystkiem tedy wypadnie wybudować kanał długości 1,200, a szerokości 200 stóp, w którym pomieszczone zostaną turbiny, stanowiące odbieralniki siły, która będą przesyłać na mniejszą lub znaczniejszą odległość, stosownie do potrzeby. Następnie wypadnie wybudować tunel, służący do odprowadzania zużytej wody. Oba te dzieła nie przedstawiają w wykonaniu żadnych technicznych, ani przyrodniczych trudności.

Są widoki, że znakomite to dzieło zostanie urzeczywistnione w niedługim czasie. Okoliczni fabrykanci amerykańscy już pośpieszają z zawieraniem kontraktów z towarzystwem, i tak, jeden z nich zawarł umowę na dostarczenie siły 3,000 koni parowych; w jesieni r. b. spodziewają się licznych nowych zamówień.

Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia pytanie: w jaki sposób najpraktyczniej byłoby przesyłać siłę? — i w tym celu prezes towarzystwa, p. Edward Adams, zwiedzał w tych czasach główne motory europejskie. Podróż ta utwierdziła go w przekonaniu, że amerykańscy inżynierowie w tym względzie o wiele niżej stoją od europejskich, że od tych ostatnich w omawianym przedmiocie mogliby jeszcze wiele bardzo skorzystać. Zdaje się, że kommisja amerykańska skłania się bardziej do przesyłania siły zapomocą zgęszczonego powietrza, a nie przy pomocy elektryczności. System ten np. zastosowany jest w Paryżu, gdzie przez rury, zawierające zgęszczone powietrze, przesyła się siłę równą 10,000 koni parowych, ze stacji centralnej do różnych miejscowości fabrycznych. Podobnym systemem posługują się i w Birmingham.

Po długich debatach zdecydowano się na ogłoszenie konkursu międzynarodowego. Jedne projekta oparte były na przenoszeniu siły zapomocą elektryczności, inne zaś zapomocą zgęszczonego powietrza. Towarzystwo przychyliło się do tego ostatniego systemu, jako tańszego, niewymagającego budowy kosztownych machin.

Obecnie przedsiębiorstwo to znajduje się w ta-

kim stanie: Przedewszystkiem towarzystwo zająć się ma wykonaniem umowy o dostarczenie siły 3,000 koni parowych, wymaganych dla oświetlenia sąsiedniego miasta Buffalo, które obecnie wydatkuje po 35 dolarów rocznie na siłę równającą się jednemu koniowi parowemu, kompania zaś niagarska ustanowiła na początek taką taxę, że siła jednego konia kosztować będzie tylko około 21 dolarów.

Co do utraty siły, to na przestrzeni takiej, jak do Buffalo, wyniesie ona 20%. Daleko znaczniejszą będzie przy przesyłaniu siły do Nowego-Yorku, lecz w każdym razie nie będzie ona tak znaczną, aby przedsięwzięcie mogło okazać się niekorzystnem, albowiem na ostatniej wystawie we Frankfurcie nad Menem przekonano się, że przy przenoszeniu siły z Laufen, gdzie istnieje także wodospad, na przestrzeni 162 wiorst, t. j. do Frankfurtu, strata wynosiła tylko 25% siły.

Amerykanie mają jeszcze śmielsze projekta: postanowili wywoływać, w miejscowościach pozbawionych deszczu ten ożywczy czynnik, bez którego vegetacya roślinna jest niemożliwą.

Trudno dziś przesądzać: czy rzecz ta uda się śmiałym synom nowego świata? — nie podlega jednakże wątpliwości, że doprowadzenie do skutku tego przedsięwzięcia (a nadmienić wypada, że istnieje i tu już towarzystwo z kapitałem) napotka na nie lada trudności. Że tak jest w same rzeczy, udowodni nam samo przyjrzenie się processowi natury, skutkiem którego deszcz przychodzi do skutku.

Powietrze zawsze i we wszystkich miejscowościach naszego globu zawiera pewną ilość pary wodnej. Znaczniejsze nasycenie parą atmosfery w dolnych jej warstwach stanowi mgłę, w wyższych zaś, nieprzenoszących wysokości wierchołków gór, stanowi chmury. Chmury deszczowe składają się z maleńkich banieczek pary wodnej, a w tej postaci, w jakiej widzimy je na niebie, gromadzą się skutkiem wirowego obrotu ziemi, lub też pod wpływem działania wiatru.

Bardzo znaczny wpływ na ową parę wodną wywiera z jednej strony temperatura, z drugiej — ciśnienie.

Gdy temperatura i ciśnienie pozostają niezmiennymi, para wodna zachowuje się bez zmiany i chociażby przeciągały najeiższe chmury, dopóki owa równowaga nie zostanie zwichniętą, deszcz nie będzie padał. Skutkiem tego jednak, że temperatura i ciśnienie bezustannie się zmieniają, — skutkiem tego mamy i zjawiska zależne właśnie od zmian zaszłych w parze wodnej, a mianowicie w jej rozprężliwości.

Gdy dwa kręgi powietrza, nasycone w zupełności parą wodną, to jest tak, że więcej jej objąć już nie mogą, zetkną się z sobą, natenczas równowaga nie zostaje naruszoną i nie mamy deszczu. Przeciwnie, gdy posiadają niejednakową prężność, wówczas każda utraci swoją, a cała przestrzeń nabiera nowej, przytem jednakże ta część, która posiadała większą prężność, utraci część pary, która właśnie skrapla się i w postaci deszczu spada na ziemię.

Jakie czynniki ułatwiają skraplanie się pary wodnej chmur, tego jeszcze nauka ostatecznie nie wyświeciła. Jedni utrzymują, że opad nastąpić może jedynie wtenczas, gdy w powietrzu unosi się kurz, na którego drobinkach właśnie osiadać mają kropki deszczowe. Inni znowu wykazali doświadczalnie, że przy nagłym wybuchu, w naczyniu zawierającym w sobie zgęszczone i wilgocią nasycone powietrze, wolne od pyłu, powstaje mgła albo opadające kropki.

Z doświadczenia owego wynika jednakże tylko to, że wybuch w powietrzu wilgotnem mogą spowodować skroplenie się pary wodnej, lecz nie spowodują tego nigdy w powietrzu suchem.

Zauważono podobno, że podczas wielkich bitew, skutkiem właśnie gwałtownych wybuchów, spadają obfite deszcze. Opierając się na tej chwiejnej zasadzie, „amerykańskie towarzystwo sztucznego deszczu” postanowiło wynalazek swój exploatawać w miejscowościach, w których panuje susza.

Na doświadczenia w tym kierunku rząd Stanów Zjednoczonych A. P. wyznaczył 9,000 dolarów. Próby dokonywano w Texas od 9 do 30 Sierpnia

r. z., a zasadzały się one na wywoływaniu w atmosferze nagłych i wielkich wstrząśnięć zapomocą materii wybuchowych. No, i deszcze w samej rzeczy padały, co dowodzi, że w atmosferze była znaczna ilość wilgoci, a tak bywa tam zawsze w tej porze roku, lecz nie dowodzi wcale, że deszcze bez owych wybuchów nie byłyby padały.

W każdym razie, gdyby znaleziono pewny sposób sprowadzania deszczu podczas suszy, stanowiącej jedną z największych klęsk rolnika, byłby to, zaprawdę, jeden z najpiękniejszych wynalazków naszego wieku.

* * *

Znaną powszechnie jest rzeczą, że żelazo stanowi potężny środek przeciwko blednicy. Wiadomo również jak trudno o preparat, któryby czynił zadosyć wszystkim wymaganiom w tym względzie. Większość reklamowanych przetworów nie odpowiada swemu celowi.

W ostatnich czasach udało się Kobertowi otrzymać dwa nowe preparaty Haemol i Haemogallol, drogą działania płynu cynkowego i pyrogallolu na barwniki krwi, a praktyka wykazała, że stosowane w blednicy oddały on najlepsze usługi.

Główna ich zaleta polega na tem, że chory dobrze je znosi, że podlegają szybkiemu wessaniu, i że nawet u ludzi wycieńczonych szybciej przechodzą w krew, aniżeli inne preparaty. Haemol jest to ciemno-brunatny proszek. Obydwa przetwory podawać należy w ilości 0,1 do 0,5 grama po 3 razy dziennie. Osoby zkadinał zdrowe znoszą 1 do 2 gramów haemagallolu bez żadnych zaburzeń. W haemolu zachowano umyślnie minimalną ilość cynku przekonano się przytem, że działa ona gojąco w przewodzie pokarmowym na nadżarcia, które u chorych na blednicę wydzierają się dosyć często i mogą w innych warunkach przechodzić w rzeczywiste owrzodzenia.

Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— Oddział sądowo-fotograficzny w Petersburgu zamierza opracować przepisy ekspertyzy fotograficznej dla sądów w obrębie państwa.

— Komitet jedwabniczy Moskiewskiego Towarzystwa Rolniczego ustanawia premium za napisanie dzieła, którego przedmiotem ma być anatomia i fizjologia gąsienicy, poczwarki i motylka jedwabnika. Premium to, oznaczone na rs. 500 dla autorów miejscowych, na 1.000 franków dla zagranicznych.

— W ostatnich dniach zeszłego miesiąca odbył się we wsi Wace pod Wilnem pogrzeb ś. p. Jana hr. Tyszkiewicza, byłego marszałka wileńskiego. Na pogrzeb ten wyszedł z Wilna pociąg nadzwyczajny, wiozący przeszło 200 osób dla oddania ostatniej usługi zmarłemu. Oprócz rodziny Tyszkiewiczów znajdowały się tam rodziny ks. Ogińskich, ks. Czetwierskich, hr. Mycielskich, hr. Czapskich, hr. Jezierskich, Karskich, Domejków i wiele innych osób, pragnących oddać tym zwłokom ostatnią posługę.

— Pierwszy z trzech odczytów na dochód Osad Rolnych p. Żygmunta Noskowskiego, dyrektora Towarzystwa Muzycznego, odbył się w Niedzielę o godzinie 1-ej z południa w Sali Ratuszowej. Treścią odczytu było: — Początek i dawność sztuki

ki muzycznej. Co pierwiej powstało: pieśń czy fujarka? Pieśń jako podstawa form muzycznych. Chorał gregoriański i ambrozyjski. Muzyka kościelna, szkoła hollenderska i jej wpływ. Upadek muzyki kościelnej. Palestryna i owoce jego działalności. Scholastycezm i pierwiastek subiektywny. Ogólny stan muzyki do czasów Bacha i Haendla. — Odczyt drugi d. 15 b. m. Wstęp Bach i Haendel, jako wielcy reformatorowie. Analogia między nimi. Pogląd na dzieła Haendla w stosunku do jego życia. Jego stanowisko w sztuce. Charakterystyka Bacha. Jego subiektywność. Motyw ludowy w muzyce. W czym się mieści doniosłość szkoły Bacha. Początek dramatu muzycznego Glucka, jego znaczenie w rozwoju opery. Mozart, jako dalszy ciąg Glucka. Muzyka instrumentalna. Stanowisko Mozarta. — Trzeci odczyt wygłosi p. Noskowski w Czwartek, o godz. 7-mej wieczorem. Bilety w składzie nut muzycznych Gebethnera i Wolffa przy ulicy Czyskiej, oraz przy wejściu do sali odczytów na godzinę przed rozpoczęciem.

— W koncercie na rzecz utalentowanego pisarza, Klemensa Junoszy wezmą udział obok innych artystów: Barcewicz, Michałowski, Noskowski i p. Kwiecińska, śpiewaczka.

— Instytut Muzyczny rozpoczął drugą seryą odczytów w sali koncertowej Resursy Kupieckiej.

— W salonie Towarzystwa Sztuk Pięknych znajduje się obecnie jedna z rzymskich sielanek Siemiradzkiego. Na tle rzymskiego krajobrazu, oblanego przejrzystym powietrzem włoskiem, piękna dziewczyna spoczywa u źródła: siedzi, podpierając głowę ręką. Nieopodal małe chłopiętko, zupełnie nagie, bawi się wylawianiem ze źródła przy pomocy kijka ziela wodnego.

— Obrazy na konkurs Kuryerowa napływają ciągle do Tow. Sztuk Pięknych.

— Na scenie Teatru Rozmaitości odczytano dramat trzyaktowy B. Aspisa „Sulamita“, oraz jednoaktową komedię „Parawanik“ Michała Wołoskiego. Obie te sztuki będą odegrane na poranku w Teatrze Wielkim na dochód wdowy i dzieci po ś. p. Janie Tatarkiewiczu.

— Na ostatnim posiedzeniu komitetu budowy kościoła Wszystkich Świętych, odbytem pod przewodnictwem J. E. Ks. Areybiskupa Popiela, sprawdzono, iż fundusz budowlany wynosi 34.000 rs., zatem postanowiono rozpocząć w roku bieżącym budowę wież.

— Ś. p. Antoni Podezaski, obywatel ziemski, zmarły w Grudniu ubiegłego roku, zapisał całe mienie swoje Zakładowi Paralityków imienia Sobieskiego w Warszawie. Legat uczyniony nosić będzie nazwę legatu Teofli z Majewskich Podezaskiej, matki zmarłego. Egzekutorem i kuratorem zapisu mianowany jest prezydujący w konsystorzu warszawskim.

— W Wiedniu na przedmieściu Hernals rozdał komitet ratunkowy chleb i inną żywność pomiędzy robotników bez pracy. Jest ich około 40.000, czyli piąta część wszystkich robotników miejscowych. W zimie znaczna część biednych robotników, nie mających w tej porze zajęcia, zarabiała cośkolwiek przez zamykanie śniegu z ulic, lecz tego roku i ten nędzny zarobek upadł, z powodu, iż śniegu nie było, więc bieda zwiększyła się jeszcze. Przy rozdawaniu chleba biedacy rzucali się na tę jałmużnę z dziką checiwością głodu.

— Pogrzeb ś. p. Pawła Popiela odbył się w Krakowie bardzo uroczysto i przy wielkim udziale publiczności. Na trumnie nie było kwiatów, bo nieboszyk zastrzegł to sobie przy śmierci. Kondukt żałobny prowadził biskup Puzyra ze Lwowa w otoczeniu duchowieństwa, bractw i stowarzyszeń rzemieślniczych, trumnę nieśli do kościoła Panny Maryi na ramionach przyjaciele, oraz po-

słowie sejmku, po za nią postępowała reprezentacja Akademii, Rada Miejska *in corpore*. Po nabożeństwie żałobnem, które odprawił książę—kardynał Dunajewski, nastąpiło przeprowadzenie zwłok do wsi Ruszczy, gdzie ciało oddano ziemi, która lekka będzie temu zmarłemu.

— Odbywa się w Krakowie szereg odczytów, licznie gromadzących słuchaczy. D. 11 b. m., architekt Wdowiszewski mówił o „artystach krakowskich z XVI wieku“, ks. prof. Pawlicki o „Platonie w Akademii“, p. Zawiejski o „urządzeniu w nowym teatrze“, p. Ignacy Rozner o „idealizmie w krytyce literackiej“. W d. 1 kwietnia mówić on będzie o „dekadentyzmie i symbolizmie we Francji“.

— Wystawa szkiców będzie urządzoną wkrótce we Lwowie w salonie Towarzys. Sztuk Pięknych. Szkice będą rozsprzedawane na korzyść ich twórców z potrąceniem pewnego procentu na rzecz Lwowskiego Tow. Sztuk Pięknych.

— Na interpellacyą rektora ks. Chodakowskiego w sprawie głodnej ludności odpowiedział członek wydziału krajowego Romanowicz, że wydział zajmuje się już od 1 listopada zeszłego roku sprawą głodu, który dotknął 13 powiatów Galicyi Zachodniej zupełnie, a 2 częściowo. Wydział uchwalił roboty publiczne, kosztem funduszu krajowego, gdyż nie ma to innych środków. Ile z kwoty 300.000 zł. reńs. na ten cel wyznaczonych przez Radę Państwa, przypadnie na Galicyę?... nie wiadomo. Teraz nadeszła kwestya obmyślenia w sejmie środków zaradczych. Drugą interpellacyą wniósł włościanin Potoczek, zwracając się do komisarza rządowego z zapytaniem: ile rząd wyznaczył na Galicyę z summy ratunkowej? W samym powiecie żywieckim nie ma co do ust włożyć 63.000 ludzi. Trzecią interpellacyą wniósł hr. Jan Tarnowski w kwestyi wałów ochronnych wzdłuż brzegów Wisły. Wreszcie uczczono pamięć zmarłego ś. p. Pawła Popiela przez powstanie, poczem pp. Zol, Asnyk, ks. Kowalski i włościanin Kramarczyk uzasadniali swoje wnioski polepszenia bytu nauczycieli ludowych.

— Wyszły we Lwowie trzy piękne piosenki St. Niewiadomskiego, skomponowane do słów Gawałowicza „Z wiosennych technień“.

— Wystawa monachijska sztuki postanowiła podobnie jak na zeszłej wystawie w Berlinie urządzić dla sztuki polskiej dział osobny. Wskutek tego sekretaryat tutejszego Towarzystwa Sztuk Pięknych podaje do wiadomości publicznej pp. artystów następujące szczegóły: 1) termin zgłaszania dzieł przeznaczonych na wystawę upływa z d. 1 Kwietnia. Termin nadesłania jest od 1 do 20 Kwietnia o g. 5 po południu; 2) Druki meldunkowe oraz blankiety do przesyłek znajdują się w kancelaryi Sztuk Pięknych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się Arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Praca kobiety na zarobek, przez M. I. — Pierzchchliwy ptak powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie. — List z Rzymu. — Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich) (dalszy ciąg). — Z działu przyrody, przez Józefa Starkmana. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Багмава, 4 Мапра 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Przeгляд mód dzieciennych.—Almawiwy.—Sukienki długie.—Najnowsze garniowanie bielizny, które już widzieliśmy u pp. Bobrowskiego i Urbańskiego, Wierzbowa 2.—Już nowe wiosenne materyały u p. Makowskiego.—Śliczny model okrycia u p. Herzego.—Medal złoty na wystawie w Brukselli za farbowane materye przez fabrykę Geberów w Grochowie.

Musiemy z nadechodzącą wiosną poświęcić jakąś część przeglądu naszym milusińskim, którym tę nazwę nadał sympatyczny nasz pisarz nie strudzonego pióra we wszystkich gałęziach beletrystyki, którego nazwiska nie potrzebuję wymieniać — wszyscy je wiedzą.

Otóż dla milusińskich wszelkiego rodzaju od lat 5 do 10, bo później już idą pod rygor szkolny mundurkowy, wymyślono śliczne okrycie w formie goni góralskiej, pod poetyczną nazwą „almawiwy“ hiszpańskiej. Robią je z grubej syberyjny w kolorze granatowym lub brązowym ciemnym, jak chłopskie sukmany, na podszewce jakiej kto chce, jeżeli ma być cieplejsze, to na ponsowej flanelce w koło z kapturkiem, bez żadnych ozdób ani kwastów, zapięte na duże rogowe guziki. Jest to bardzo wygodne okrycie dla dziecka, bo chroniące od zimna, niekrępuje ruchów, jak prawie każdy paletot, może ono w piłkę grać i na welocypedzie jeździć. Naturalnie, że gdy mowa o ładnych ubiorkach dzieciennych, mamy na myśli magazyn pani Pawlik na Trębackiej, w domu Szeiblera, obok znanego wszystkim matkom i wszystkim dzieciom składu zabawek

Wiśniakowskiego, gdzie nam prześliczne rzeczy pokazywano. Dla małych „bebé“ sukienki kremowe kaszmirowe, wszystkie w karczku z haftu, z tegoż haftu w dole niby falbanka, staniczek marszczony cały, w pasie ujęty sznurem z kwastami; druga śliczna, ale zbyt kłopotliwa dla dwu lub trzyletniej z samych wszywek „walencienki“, z których w drugą przewlekała wąziutka biała wstążeczka, rękawki bufiaste także przewlekane, szarfa jedwabna w porównaniu szeroka spadała z boku, cała sukienka na kremowej satynie. Moda, jak to widzimy na żurnalach paryżkich, już od zeszłego roku zadecydowała nawet dla dzieci dłuższe sukienki, a choć to nie ładnie, przyznać trzeba, matki słuchając mody dla siebie usłuchały jej i dla dzieci. W roku zeszłym spotykałam już zagranicą dziewczynki od lat czterech, ubrane w sukienki wszyte w karczku lub w duży kołnierz gipiurowy, sięgające po za kostki prawie. Tego-roczne wzory ubiorów już bez różnicy wieku od 4—12 lat przedstawiają dzieci w długich od kostek lub za kostki sukienkach; oko nieprzyzwyczajone uważa to za bardzo niezgrabne, jedno tylko przemawia za tem, to to, że trudniej o zażębiecie w dłuższej sukience. Oko się jednak prędko przyzwyczaja do nowych fasonów, więc i dłuższe sukienki nas razić nie będą. Czy panie uwierzcie, że nawet dla tych bębnow po modele pojechała pani Pawlik do Paryża, mnie się zdaje, że dosyć by było do Wiednia, bo w Wiedniu więcej dbają o strój dzieci jak w Paryżu. O ile przypominamy sobie, że pani Pawlik ma od pewnego czasu i matinki i bluzki dla dam, pewno więc i to ma na myśli, jadąc za-granicę.

W zeszłym przeglądzie mówiliśmy o bieliźnie, dziś musimy jeszcze dodać o jednej nowości, którą nam pokazywano w pierwszym naszym maga-

zynie „du blanc“, jak mówią w Paryżu, naturalnie, że mowa o firmie Bobrowski i Urbański, Wierzbowa 2. Otóż najnowszym rodzajem bielizny jest tak zwany rodzaj „pierrotów“, który zasadza się na ozdobie czyli falbanie haftowanej na rzędzaku lub wiktoryi, dwa bawełniane cienkie materyały wycięte w głębokie zęby, wycinane znowu w drobiuteńkie, wszystkie obdziergane białą lub ponsową bawełną. Ta falbana jest bardzo suta, czyli ma obwód trzy razy większy jak jest u bielizny, w dole podszyta wąziutką pliseczką, przez którą przechodzi nawleczona kolorowa wstążeczka, przytrzymująca zbyt sutą falbankę, związana z wierzchu na kokardkę; garnirują tak koszuleienne nocne i majtki.

Pomimo stagnacyi zupełnej w handlu, mamy już nowe zupełnie rzeczy na wieczorne kostiumy. Pan Makowski już był w Paryżu i już wrócił a towary powoli ciągle nadechodzą, i tak, widzieliśmy w tych dniach nowy zupełnie wyrób wełny z jedwabiem, ale jedwabiu w nim nieznac, tylko w draperyi jakoś inaczej się rzuca, są to paski naśladowujące dawniejsze jedwabne ottoman, dziś zowią to „bajadère étincelle“, lub inny jeszcze rodzaj także nieznanym „prysme“ cieniowany, do sukien takich nosi się tylko pasek szeroki z bawetem w górze i w dole z złotych perełek na tle tiulowem lub z gipiury szarej „éorne“, wreszcie złoty ażurowy. Śliczne są materyały angielskie w guście tarentowatych psów lub koni. Wszystkie materyały są w szarych tonach dziś najmodniejszych, a co więcej najpraktyczniejszych na wiosenne suknie.

Ze świeżych okryć, jakie pan Herze także już sprowadził, pokazywano nam śliczny model krótkiego „camail“, peleryna prawie do kolan z szarego sukienka, w tyle prawie gładkie, a fałdy z ra-



Nr 1. Suknia wieczorowa dla młodej osoby (do ryc. Nr 4). Opis pierw. str. tabl.

Nr 2 i 3. Suknia obiadowa lub wieczorowa z aksamitu i atlasu „merveilleux.“ (Kroj i opis odwr. str. tabl. Nr NI, fig. 27—37).

Nr 4. Suknia wieczorowa (do ryc. Nr 1). Opis pierw. str. tabl

mion rozsypywały się na dwie strony: ku przodowi i ku tyłowi. W tyle zdołał je śpiczasty kapturek ze sznurami i kwastami a od kapturka ku przodowi spadała króciutka jak kapturek suto fałdowana pełerynka, całe okrycie nasze te plecionką jedwabną ze złotem, fason zupełnie nowy, a cena 75 rubli, jako model. Wielką nowinę donoszę tu czytelnikom „Bluszczy”, że pan Herze, który ani jednej pracownicy nie oddał, pomimo tak wielkiej stagnacji w handlu, aby dać ciągłe zajęcie swej pracowni podczas postu, ale tylko podczas postu, wyrabia całe suknie, to jest spódniczki i bluzki wygarniowane z lekkich fularów modnych po 20 rs. Panie więc, marzące o tem, aby mieć suknię od Herzego, mogą z łatwością marzeniu swemu zadość uczynić. Oprócz tego robią tam grube rotundy na podobieństwo sławuckich w różnych ciemnych barwach na podszewce w kraty materiały „à double face” ślicznym fasonem z kapturkiem po 33 rs. Wszak to już nie Herzowska cena, na taką każdy się zdobędzie, kto potrzebuje ciepłego, podróżnego, wiosennego i jesiennego okrycia.

Milo mi zaznaczyć tu, że pierwsza nasza warszawska farbiarnia Geberów otrzymała na tegorocznej wystawie wyrobów farbiarskich w Brukselli medal złoty, za wszelkie okazy w ogóle i za całe sztuki materii jedwabnych w szczególności, co jest najtrudniejsze, aby zachować barwę jednostajną przy farbowaniu, gdyż w sukni mniej się to uwidoczni. Ja osobiście jestem wielce zadowolona z otrzymanej wiadomości, gdyż każdą robotę tej firmy znajduję doskonale wykonaną, cieszę się więc, że i „jury” w Brukselli była mego zdania.

L. C.

Spódniczka wykonana na drutach dla dziecka od 1—2 lat.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 10.

Potrzebna włóczka: 90 gram.

Spódniczka wykonana białą cienką włóczką na drutach drewnianych, złożona z części przedniej i tylnej. Rozpocząć od przedniej połowy spódnicy na założeniu 31 oczek tam i napowrót, jak następuje:—1 kolej: oczka zebrać, 26 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem przerob., drut owinać, 2 ocz. zwy.—2 kolej: ocz. zebrać, 5 ocz. zwyczaj., 26 ocz. odwrot.—3 kolej, jak kolej 1, ale zamiast 26 ocz. zwyczaj. wykonać 27.—4 kolej, jak kolej 2, ale zamiast 5 ocz. zwyczaj. wykonać 6.—5 kolej, jak 1, ale zamiast 26



Nr 5. Szlak na krzesła, portyery, serwety i t. p. Ścieg krzyżowy i gobelinowy.
■ Ciemno-orzechowo-brązowy, □ jasny brązowy, ■ ciemno-żółty, □ jasno-żółty, ■ tło.

ocz. zwyczaj. wykonać 28.—6 kolej: zwyczaj.—7 kolej: dr. zebr., 25 ocz. odwr., 4 ocz. zwyczaj., dr. owinać, 2 ocz. zwy. razem przer., dr. owinać, 2 ocz. zw.—8 kolej, jak 6.—9 kolej: o. zebrać, 25 ocz. odwr., 9 ocz. zw.—10 kolej: 4 ocz. odczepić, 30 ocz. zwy., powtarzać 18 razy 1 do 10 kolej, przy czym ocz. odczepić. Następnie, zebrać 64 o. w górnym brzegu spódnicy i powracając wykonać jak następuje:—1 kolej: ciągle naprzemian 1 ocz. odwr., 2 o. odwr. razem przerob.—2 kolej: odwr.—3 i 4 kolej zwyczaj.—5 kolej: ciągle naprzemian: 3 o. odwr. razem przerob. w następ. ocz., 1 o. zwy., 1 odwr., 1 zwy.—6 kolej: odwr.—7 i 8 kolej, jak dwie poprzed. kolej, ale uważać na desę.—9 kolej, jak kolej 5, ale ciągle zamiast 3 o. tylko 2 przerob. z 1 ocz.—10 i 11 kolej zwy.—12 do 14 kolej odwrot.—15 kolej: ciągle naprzemian: 1 ocz. zwyczaj. 1 ocz. odwr.—16 kolej: odwr., powtarzać na stanik 23 razy poprzednie dwie kolej, przy czym w 20 powtórzeniu przy rozpoczęciu na każdym drucie 3 o. odczepić, a na środkowych 37 jeszcze raz 2 do 9 kolej powtórzyć (na pozostawionych ocz. w tymże desenie wykonać ramiona) a w ostatniej kolej nie 2 oczka przerob. ale 3 ocz. Następnie w dalszym ciągu ramienia na 14 ocz. brzeżnych wykonać 6 kolej, jak 14 ocz. w poprzed. kolej (środkowe ocz. tymczasowo pozostawić nie tknięte) i odczep. jeszcze 14 ocz. Drugą połowę wykonać tak samo, ale od stanika w 2-ch częściach wykończyć, a na pasek zachodzący z przednich prostokątnych żyłek lewej części 4 ocz. ująć i takowe przy zakończeniu na prawej części zwyczajnie przerobić. Następnie połączyć obydwie połowy ścięciem obrzucanym od dolnego brzegu aż do pasków, jako też na ramieniu. Potem zebrać na drut rząd oczek przy wycięciu szyi i wykonać na tychże, jako też na poprzednio pozostawionych 1-szą kolej zwyczajnie, oraz 2 kolej, których 1 ocz. po prawej stronie wyglądają, jakby wykonane po lewej. Następnie 1 rząd dziurek do przewleczenia wąskiej wstążeczki ciągle naprzemian: drut owinać, 2 o. zwyczaj. razem przerobić, potem 1 kolej, w której zbiorowe ocz. przerob. i 2 kolej, w których prawa strona wygląda jak lewa. Pozostałe ocz. na drucie przerobić szydełkiem ciągle naprzemian: następne 2 ocz. jednym ści. łańcusz. razem przerob., 3 pow. ocz. i taką samą kolej wykonać w rzędzie ocz. tylnego przechodzącego paska. Rękawy rozpocząć od dolnego brzegu na założeniu 30 ocz., 1 do 3 kolej odwrotnie, 4 do 10 kolej w desień przezroczysty, w 11 kolej zbiorowe ocz.



Nr 7 i 8. Tylne i przednie części płaszcza Nr 13 (bez peleryny).



Nr 6. Tylne części do ryc. Nr 15.



Nr 12. Peleryna do płaszcza Nr 14.



Nr 15. Suknia wieczorowa z aksamitu i pasmanterii z perłami (do ryc. Nr 6).

Żabot z jedwabnej krepy.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 10.

Żabot z żółtej jedwabnej krepy, przybrany figurami z koronki czarnej w kształcie ptaszków. Na żabot skrajać gazy część 50 c. wielkości.

Suknia obiadowa lub wieczorowa z faille i aksamitu.

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 10.

Aksamit oraz faille jedwabne koloru fioletowego. Suknia skrajana formą „princesse” na biodrach ułożona w kształcie koszyczków. Dolny brzeg spódnicy przybrany aplikacją z aksamitu, a powyżej naszyty po kilkakrotnie aksamitką. Rodzaj gorsecika z aksamitu. Napierśnik i spodnie rękawy z aksamitu, wierzchnie zaś otwarte, tak zwane włoskie z faille, przybrane aplikacją i aksamitką podług rycin.



Nr 10 i 11. Przednie i tylne części płaszcza Nr 14.



Nr 9. Peleryna do płaszcza Nr 13.

Ozdoba i szlak z pasmanterii i pereł.

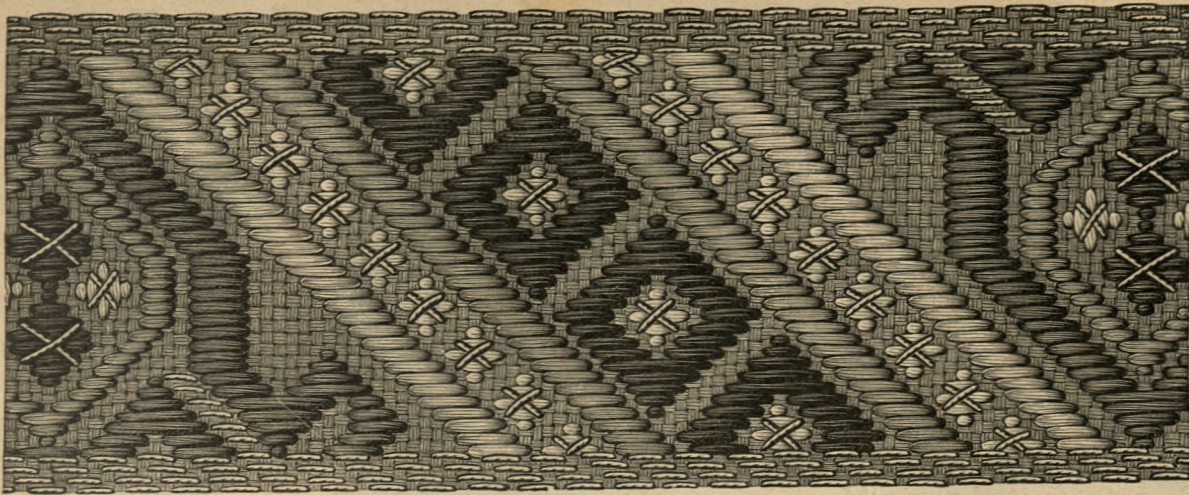
Rycina Nr 11 w Bl. Nr 10.

Ozdoba służąca do przybrania sukni białej, złożona z kołnierza i paska zaokrąglonego, wykonana ze sznureczka jedwabnego i ze złota, wykończona jak wskazuje ryc. frendzlą z perełek białych, złotych i kryształowych.



Nr 13. Płaszcz wiosenny (do ryc. Nr 7—9). (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—16).

Nr 14. Płaszcz podróżny z peleryną i kapturkiem (do ryc. Nr 10—12). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 38—48.



Nr 16. Haft na taboret Nr 18 (wielkość oryginalna).

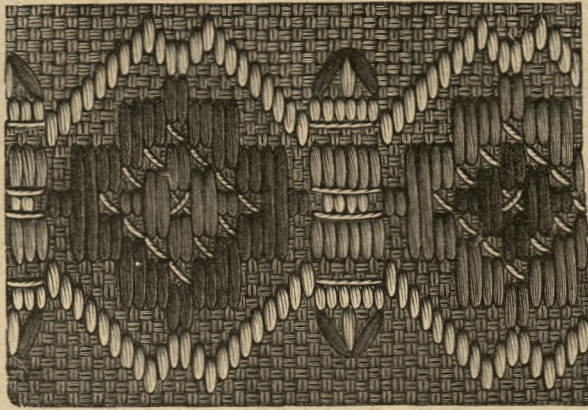


Nr 22. Serwetka (haft duński) do ryc. Nr 21 i 24.

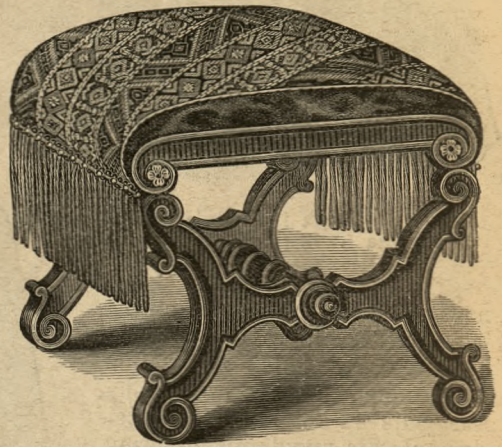
Wachlarz dekoracyjny ozdobiony malowidłem.

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 10.

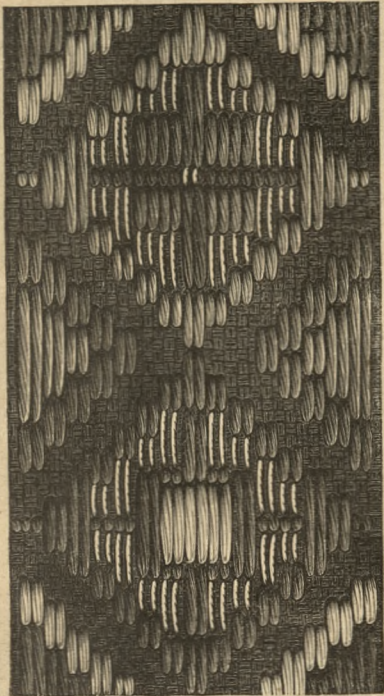
Dwa palmowe zwyczajne liście, z których łodyga jednego zwrócona ku części górnej. Jeden liść częścią gładki a częścią złożony, drugi pokryty atlasem ozdobionym malowaną gałązką fuksyi, a częścią repsem jedwabnym fałdowanym koloru lila. Na jednym z brzegów umocowana podług ryc. gałązka złożona z zasuszonych liści i żołędzi. Żołędzie należy mocować ogonkami z elastyki. Całość wykończają kokardy z wstążki lila jedwabnej repsowej 2½ cent. szer.



Nr 17. Haft na taboret Nr 18 (wielkość oryginalna).



Nr 18. Taboret ozdobiony haftem (do ryc. Nr 16, 17 i 19).



Nr 19. Haft na taboret Nr 18 (wielkość oryginalna).

Serwetka na maszynę do szycia z szlakiem haftowanym.

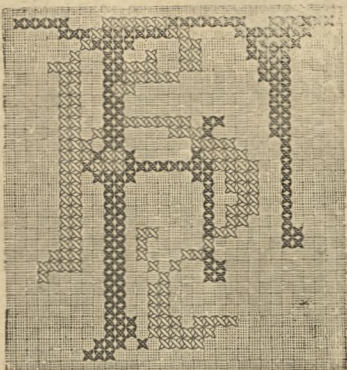
Rycina Nr 29 w Bl. Nr 10. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 26).

Serwetka z pluszu koloru odpowiedniego do całości urządzenia pokoju, obszyta na brzegach poprzecznych szlakiem, którego połowę wzoru przedstawia fig. 26 tablicy wraz z oznaczeniem kolorów. Materiał użyty: tkanina złota. Podłużne brzegi otoczone sznurem złożonym.

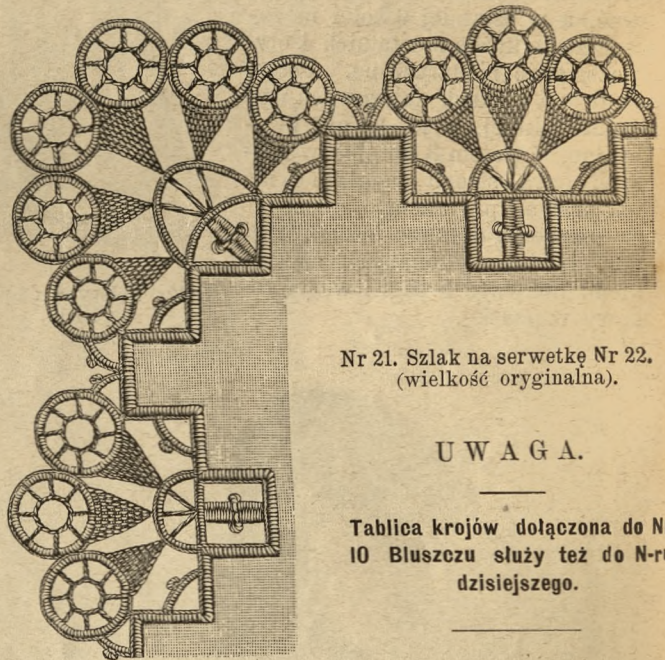
Wstawka wraz z koronką do koszul lub dziecinnej garderoby oraz powłoczek.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 10.

Rycina przedstawia wstawkę wraz z narożnikiem, wykonaną krętymi niemi w poprzek na założeniu 44 oczek. Deseń jest bardzo wyraźny a sposób wykonania znany i łatwy.



Nr 20. Monogram.



Nr 21. Szlak na serwetkę Nr 22. (wielkość oryginalna).

UWAGA.

Tablica krojów dołączona do Nr 10 Bluszczo służy też do N-ru dzisiejszego.

Obiad postny.

1. Zupa rybna ze śmietaną i klusieczkami.
2. Paszteciki z ryb.
3. Sandacz z jajami.
4. Kaszka na grzybowym smaku.
5. Lin smażony z roszponką.
6. Tort pomarańczowy

Korespondencja.

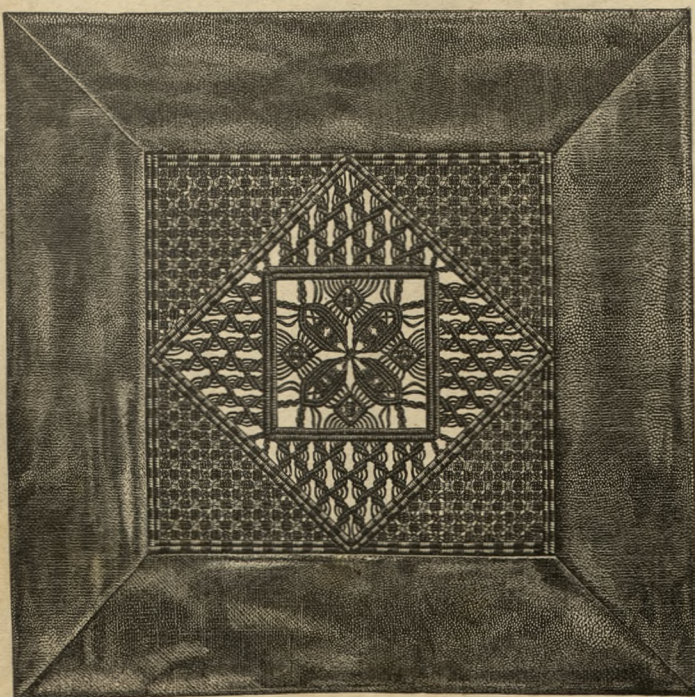
Odp. Ukrain.

Kursa Gospodarstwa wiejskiego otworzyła u siebie na wsi w Starej Wsi, poczta Grójec, pani Hube, do niej zatem należy się zwrócić z pytaniem. Kroju i koronkarstwa udzielają w Warszawie szkoły rzemiosł dla kobiet, jedną z takich polecam pani Jadwigi Przewódzkiej, Niecała Nr 10.

Odp. p. Eng. w Gnieźnie. Taka sama trudność o miejsce u nas jak u państwa, nie w tem poradzić pani nie mogę.



Nr 24. Haft na serwetkę Nr 22 (wielkość oryginalna).



Nr 23. Serwetka.